PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

N 2 (5) ROK II 15 gr.



MŁODY NURT

SPIS NAGRÓD
WIELKIEGO KONKURSU WAKACYJNEGO

1. 9 aparatów fotograficznych firmy „Kodak",
2. 2.000 sztuk różnych przyborów fotograficznych,
3. 1 oryginalny duży kilim z pracowni „Sztuka Huculska",
4. 10 straszaków firmy „Mubis",
5. 3 sztuki sprężyn gimnastycznych „Expaner",
6. 10 map turystycznych,
7. 300 tomów różnych książek,
8. 20 sztuk różnego sprzętu sportowego.

Do składu Komisji Konkursowej każdego działu wejdzie: przewodniczący, sekretarz i dwuch asesorów.

Przypominamy termin nadsyłania prac.

Szczegóły Konkursu w poprzednich numerach „Młodego Nurtu".

ZAWODY O PUCHAR GORDON - BENNETTA.

W tegorocznych zawodach balonów o puchar Gordon - Bennetta brało udział dziewięć balonów, w tym trzy polskie: „LOPP" pilotowany przez kpt. Janusza i inż. Janika, „Warszawa II" z załogą inż Krzyszkowskim i inż. Łańcuckim i „Polonia II" z por. Kobylańskim i por. Patalanem.

Start balonów odbył się w Belgii w miejscowości Liége.

Najdłuższą trasę lotu, 1650 km. odbył polski balon „LOPP", pilotowany przez kpt. Janusza, zdobywając pierwsze miejsce, a tym samym przechodnią nagrodę, puchar Gordon - Bennet. Lądowanie balonu odbyło się w Bułgarii.

W kolejności za balonem „LOPP" idą: Warszawa II (1470 km) i „S. II" (Belgia — 1470 km.). Dwukrotny zwycięzca (z lat 1936 i 1937) Belg Demuyter zajął obecnie szóste miejsce (1390 km.). „Polonia II" znalazła się na piątym miejscu (1390 km.).

MANEWRY NA WOŁYNIU.

We wrześniu odbyły się wielkie ćwiczenia armi polskiej na Wołyniu, w których wziął udział marsz. Edward Śmigły - Rydz. Na zakończenie manewrów odbyła się w Łucku wspaniała defilada w dniu 20 września b.r., którą odebrał Naczelny Wódz. Następnie przedstawiciele społeczeństwa wołyńskiego przekazali marsz. Śmigłemu - Rydzowi nowoczesny sprzęt wojenny, dokumentując tym swój stosunek do Armii Polskiej.

„STELLA POLONIA".

Przygotowania do startu „Gwiazdy Polski" są w pełnym toku. Do niedawna cicha i senna Dolina Chochołowska, dziś rozbrzmiewa gwarem dziesiątków robotników, którzy montują całe „miasteczko" namiotów dokoła miejsca wzlotu stratostatu. Gondola już jest na miejscu jak również pasażerowie: dr. Jodko - Narkiewicz i kpt. Burzyński. Poza tym szereg speców, oficerów pułku balonowego, pomiędzy nimi kpt. Janusz, zwycięzca tegorocznego Gordon - Benneta", kierują pracami i pomagają w wykańczaniu ostatnich szczegółów.

Opis przygotowań i samego startu w następnym numerze.

INAUGURACJA ROKU Z. H. P.

W niedzielę, dnia 25 września br. odbyła się w Łazienkach uroczysta inauguracja roku harcerskiego. Po defiladzie kilkutysięcznej rzeszy harcerzy warszawskich odbyły się przyjęte z zrozumiałym zaciekawieniem pokazy obrony przeciwlotniczej. Zakończeniem uroczystości były tradycyjne pokazy harcerskie żywo oklaskiwane przez publiczność.

WRĘCZENIE SZTANDARÓW.

25 szkół kresowych otrzymało w dniu 21.IX. b.r. w Warszawie, na placu Zamkowym w obecności Pana Prezydenta sztandary, mające być symbolem jedności Polski z Kresami. W uroczystości wzięły udział poczty sztandarowe warszawskich szkół średnich.

MŁODY NURT

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Nr 2 (5) ROK II

1 PAŹDZIERNIKA

1938 ROKU



jesień

SPÓŁDZIELCZOŚĆ W SZKOLE

„Spółdzielczość polska ma służyć wcielaniu pewnych idei w życie, a nie wyłącznie korzyściom materialnym, jak w wielu innych krajach. Ma to być ruch społeczny bojowy, zmierzający śmiało do innego ustroju społecznego, chcący stwarzać w każdym dniu i godzinie ten nowy ustrój przez wolną twórczość jednostki, twórczość codzienną, upartą, wytrwałą, drogą spółdziałania, drogą wcielania w życie największej ewangelii życia — idei braterstwa." Tymi słowy określa ideę spółdzielczości jeden z największych polskich teoretyków E. Abramowski.

Tak pojmowana spółdzielczość winna znaleźć wśród młodych wielu entuzjastów. Aktywny stosunek do nasuwających się zagadnień, zapał w dążeniu do lepszych stosunków wśród ludzi, wypływający z niezakłamanego poczucia sprawiedliwości jest przecież cechą i skarbem młodości.

Idea spółdzielcza znalazła w całym świecie ogromne rzesze wyznawców. W Polsce na dzień 31.XII 1936 r. objęła 2.804.000 osób zrzeszonych w 12.004 różnych typów spółdzielni. Zyskuje coraz więcej zwolenników, gdyż organizacje spółdzielcze pomagają rozwiązać cały szereg zagadnień gospodarczych, które inną drogą nie dałyby się rozwiązać. Jest to dowodem, że spółdzielczość nie jest górnolotnym ideałem, ale ma podstawy realne. Mocno oparta o życie, czyni je łatwiejszym. Dążność do lepszego jutra pomaga przetrwać niejedną niedolę szerokim masom. W życiu szkolnym spółdzielczość, jako jeden z czynników wychowawczych może odegrać ogromną rolę.

Życie szkolne siłą rzeczy jest tak zorganizowane, że uczeń niewiele może do niego dorzucić. Jest on w nim odbiorcą. Rozwinięcie na terenie szkoły placówek spółdzielczych dopełnia życie szkoły. Jako organizacje dobrowolne skupić powinny w swych szeregach wszystkich tych, którzy nie w ciasnym, własnym interesie, ale w harmonijnym rozwoju wszystkich zjawisk życia, ujrzą cel swego istnienia.

Zrzeszonym pozwolą rozwinąć samodzielność, znaleźć ujście twórczości. Nauczą zaspakajania własnych potrzeb bez ignorancji potrzeb otoczenia i przeciwnie nauczą cenić wartość innych, wpoją miłość, usłużność względem innych bez lekceważenia własnych potrzeb. Wpoją ideę braterstwa, miłość do wszystkich ludzi. Przez życie w gromadzie zaprawią do życia społecznego, a przez wytrwały i codzienny wysiłek i pracę nad sobą w myśl ideałów spółdzielców, dadzą poczucie tworzenia nowego życia i sprawiedliwości społecznej.

Osiągnięcie tych korzyści warte jest dużego wysiłku ze strony zarówno młodzieży jak i szkoły. Nie da się osiągnąć tych celów drogą nakazów lub zakazów, ani drogą moralizowania. Ideały spółdzielców muszą trafić do serc i rozumów. Wartość wychowawcza organizacyj spółdzielczych jest nie do zastąpienia przez inne organizacje. Rozwijanie samodzielności wyładuje w dobrym kierunku nadmiar energii drzemiącej u młodych. Zetknięcie się ze zjawiskiem życia gospodarczego pomoże poznać stare drogi życia i obudzić dążność do szukania nowych.

Dotychczas na terenie szkół istnieją dwa rodzaje placówek spółdzielczych. Jedne z nich to samorządy szkolne oparte na zasadach spółdzielczych, rozwijające się przeważnie na terenie szkół internatowych. Samorząd taki dzieli się na sekcje obejmujące całość życia szkolnego. Całe życie samorządu szkolnego jest jedną spółdzielnią, której członkami są wszyscy uczniowie ze swymi wychowawcami. Takie spółdzielnie najczęściej są spotykane na terenie szkół o życiu internatowym, rzadziej o życiu otwartym.

Drugi typ — to sklepiki szkolne zakładane w celu udogodnienia zakupów niezbędnych przedmiotów szkolnych i użytku codziennego.

Poza tym członkowie tych spółdzielni dążą do rozszerzenia idei spółdzieczych wszystkimi drogami, możliwymi na terenie szkoły.

Formy tej propagandy są różne, zależnie od warunków szkolnych i inicjatywy członków. Ten typ spółdzielni przeważa na terenie szkół otwartych.

Przy organizowaniu każdej placówki spółdzielczej należy troszczyć się o przygotowanie ideowo - praktyczne opiekuna spółdzielni, którym winien być nauczyciel. W pracy należy położyć duży nacisk na przestrzeganie zasad spółdzielczych na każdym kroku: należy umożliwić opanowanie gospodarki i księgowości spółdzielczej, przestrzegać ściśle właściwej organizacji samej spółdzielni nie zacieśniając zbyt zakresu jej działania.

Naturalnie uwagi moje nie usuną wszystkich trosk i przeszkód jakie spotkać mogą organizatorzy. Będą one różne, zależnie od warunków lokalnych, dlatego nie ma sposobu usunięcia ich wszystkich. Przeszkody te nie tworzą jednak zapory nie do przebycia. W następnym numerze „Młodego Nurtu" zapoznamy się bliżej z samą praktyczną już organizacją spółdzielni szkolnych.

J. Bon.

ROZMOWA Z P. KOSSAK-SZCZUCKĄ

Dnia 21-IX delegatki Komitetu redakcyjnego „Młodego Nurtu" kol. kol. Bojanowska i Łodyńska uzyskały od świetnej powieściopisarki p. Zofii Kossak-Szczuckiej obietnicę współpracy z „Młodym Nurtem".

Autorka „Krzyżowców" odniosła się bardzo pozytywnie do pracy młodzieży we własnym piśmie, stawiającym sobie za zadanie zainteresowanie i zrzeszenie nas wszystkich.

Najbliższa nowela p. Zofii Kossak-Szczuckiej ukaże się już w Nr 4 „Młodego Nurtu".



1838 ADAM ASNYK 1938
w setną rocznicę urodzin

W dniu 11 września br. pamięć stuletniej rocznicy urodzin A. Asnyka czciły szczególnie uroczyście dwa miasta: Kalisz i Kraków, miejsca: urodzin i zgonu poety. Nieobojętna sercu polskiemu rocznica zbliżyła nas do wielkiej postaci myśliciela, liryka, poety - patrioty.

I tu na łamach pisma, pomijając rysy biograficzne, spójrzmy przez rzut paru glossów na postać Asnyka, odpowiedzmy na pytanie, czy istniała i w czym tkwiła jego wielkość.

Asnyk przychodzi na świat w chwili największego rozkwitu poezji romantycznej; właściwa jego działalność przypada na lata po r. 1863, w okresie panującego niepodzielnie na ziemiach polskich pozytywizmu.

Z tytułu jednak życia i działalności w tym czy innym okresie nie wolno zamykać nam poety w gotowej, pustej, oczekującej na przyjście pozytywizmu czy romantyka, szafie. I jeżeli kogo, to szczególnie może Asnyka nie da się określić krótkim mianem: romantyk czy pozytywista.

Asnyk na gruncie warszawskim bierze czynny udział w pracach przygotowawczych powstania styczniowego. „Czerwony" zwolennik powstania, wprawdzie po jego upadku wypowie nieubłaganą walkę starym idealistom, wyznawcom działania i szału romantycznego:

„Czyliż fałszywy wzbrania wam wstyd
Z obłoków zstąpić do ziemian?
I czynnie walczyć o dalszy byt
Wśród życia, wstrząśnień i przemian?

ale czyż to potępienie było całkowite, czy zgodne z całą duchową strukturą psychiczną poety? Chybaż nie. Bo jeżeli nie bezpośrednie wypowiedzi, to mimo wszystko ton tkliwej, smutnej i poważnej, jak sam twórca, poezji lirycznej i wirtuozja formy, przeczy temu.

Zresztą już w wierszu „Do młodych", zwróconym do pozytywistów warszawskich zwalczających z całą bezwzględnością ideały romantycznego pokolenia, nie karze Asnyk potępiać przeszłości w sensie zupełnego zacierania po niej śladów:

„...nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!"

Asnyk uznał potrzebę realnej „pracy od podstaw", z zakasanymi rękami stanął jak umiał, do budowy nowej rzeczywistości; pozostał jednak poetą — idealistą. Idealizm jego, jak idealizm właściwie pojętego romantyzmu polskiego, nie był mglistym, oderwanym od życia. Poeta miał poczucie realnych warunków bytu narodu i społeczeństwa, tkwił w rzeczywistości. Ton jego poezji społecznej, przez progi której dojdzie potem do kosmopolityzmu, nosi wszelkie zadatki zrozumienia potrzeb i niedomagań ludów uciśnionych. Z tych ideałów pozytywistycznego światopoglądu najgłębiej może przemówiła doń sprawa niesienia oświaty dla szerokich mas. Potrzebie dźwignięcia wysoko kagańca oświaty poświęcił pióro i oddał czyny. Z jego to bowiem inicjatywy powstało w Krakowie Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Większym jednak ponad czyny i poezję — powiedzmy, nawet wyłącznie programową pozytywistyczną — stał się Asnyk poetą lirykiem, wirtuozem formy, wreszcie myślicielem. Bezprzecznie w okresie swej twórczej działalności, przed Tetmajerem i Kasprowiczem, był większy, pełniejszy od swoich rówieśników i współtwórców. Wielkość jego i gatunkowa wartość poezji spoczęły zarówno na głęboki noszącej sens treści jak i na doskonałej formie.

Najwięcej sobą pozostał, najpełniej wypowiedział się Asnyk nie w czynnym życiu praktycznym, w publicystyce, wierszach epickich czy twórczości dramatycznej, a w poezji lirycznej. Ta w szacie godowej, w całej krasie swej powagi płynęła z wiecznie smutnej duszy poety, który szuka, tęskni do odkrycia lepszych podstaw bytu ludzkiego. Smętna liryka Asnyka nie bierze początku w sercu, nie jest erotyczną; skutkiem tego nie budzi nadludzkich zapałów, nie porywa i nie zachwyca. Oparta o intelekt i założenia filozoficzno - refleksyjne nie jest przecież mniej doskonałą. W niej wraz z twórcą błądzimy po dalekich drogach dociekań do podstaw bytu, w niej przeżywamy niepokój i wzruszenie, smutek i rozrzewnienie, w niej wreszcie znachodzimy pożywkę dla duszy, kąpanej w ideałach miłości i poświęcenia dla rodu ludzkiego. Zapał i entuzjazm oblany jest głębią myśli, która, mimo wszystkie wysiłki, nie zdolna jest odkryć tajemnic prabytu:

„Zmiennego bytu falo ty ruchliwa!
Co nas unosisz po wszechświata toni,
Daremnie wzrok nasz za tym wszystkim goni,
Co pod powierzchnią twoją się ukrywa.

I tak wszędzie. Nawet uczucie miłości, znachodzące wyraz w poezji nie było gwałtowne, wybuchowe, nieopowane. Miłość jego, mimo swej głębi jest jakaś inna, dziwna, metafizyczna:

„Ja ciebie kocham! Świat się zmienia,
Zakwita szczęściem od tych słów.
A dusza skrzydła znów dostaje:
Już jej nie ściga ziemski żal,
I w elizejskie leci gaje
I tonie pośród światła fal!"

Dominującym i trwałym tonem poezji Asnyka jest głębia myśli, jest refleks tęsknoty, smutku i równoczesnej wiary. Te cechy wszakżeż nosi cykl sonetów „Nad głębiami", nimi okraszona jest poezja górska, choć nie epicka i nie plastyczna, a jakże przecież wielka, potężna wyrazem wypowiedzi.

Forma wiersza Asnyka wiedzie swój rodowód w prostej linii od romantyków.

Melodyjność wiersza, bogactwo rytmiki, łatwość dokonywania zmian różnolitej „strofiki" — wszystko razem było pomostem rzuconym przez Asnyka dla zachowania ścisłej łączności między poezją romantyczną a młodopolską.

Asnyk, ten wypchany — jak go nazwał kiedyś Wyspiański — orzeł, mimo, że nie zna wysokich, podniebnych wzlotów, jest wielkim **poetą - lirykiem**, niezrównanym **wirtuozem formy poetyckiej**, niezwyczajnym **myślicielem - filozofem**, w poezji programowej: **czułym na nędzę ludzką człowiekiem**.

Takim trzeba go szukać dziś, po stu latach jego urodzin.

Zdzisław B. Porębski.

WALKA MŁODYCH ZE STARYMI

Wiadomo, że stary z młodym nie dogadają się łatwo. Zawsze tam jest coś między nimi, co nie da się słowem określić, ale co nie tylko obcych, ale i dzieci od rodziców dzieli i doprowadza nie rzadko do poważnych konfliktów. Tak to już było zawsze. Jak stare istnienie ludzkie, nie było pełnego zrozumienia między pokoleniami młodych i starych. To też wiodły one ze sobą zaciekłą walkę niemal niedostrzegalną, cichą i zupełnie różną od tego, co na ogół zwykliśmy tym mianem określać. Bo walka dwuch pokoleń, to nie walka dwuch uzbrojonych armii, to nie walka mięśni. Jest to walka myśli, wypływająca z instytynktu ludzkiego, niepohamowana, konieczna. Ma w sobie żywiołowość natury, jej brutalność i nieustępliwość. Nie można jej uniknąć lub zaniechać, nie można nawet w niej nic zmienić. Młodzi jak i starzy mają swoje odwiecznie wyznaczone role i muszą je odegrać. Wszędzie i zawsze obowiązuje wielkie prawo walki pokoleń młodych ze starymi.

Ci ostatni są w defensywie — muszą ustąpić, ale bronią się do ostatka, bronią tego, co stworzyli, na czym się wychowali i do czego przywkli. Starzy reprezentują współczesność i tradycję. Oni wykonali już swą pracę i gdyby nawet widzieli w niej usterki, nie mają energii, ni sił na ich poprawienie lub burzenie i budowanie od nowa. Natomiast wszystko to, co sami odziedziczyli i stworzyli starają się przekazać młodym następcom. Ale następcy — pokolenie młodych jest wybredne. Łatwiej dostrzega błędy i widzi ich rezultaty, nie może przejąć się tradycją, nastawione jest krytycznie i rewizjonistycznie. Niesie zato ze sobą nowe idee i myśli, które gotowe jest natychmiast urzeczywistnić z zapałem, wiarą i energią jemu tylko właściwą. Młode pokolenie całą siłą swej natury wpiera się w życie. — Wchodzi w ramy dawno już stworzone: prawo, zwyczaje, kultura, ustroje polityczne i społeczne, systemy gospodarcze stają się jego współwłasnością, którą nie tylko pomnaża, lecz przede wszystkim pragnie zmienić po swojej myśli. I tu napotyka na opór starych.

Któż z nas nie zna tych niezliczonych zastrzeżeń i ostrzeżeń, uwag, rad i obaw a jednocześnie ukrytej dumy i radości, jakie każde przedsięwzięcie dziecka budzi u jego rodziców! Póki chodzi o rzeczy błahe, póki robi je jeszcze dziecko, któremu można zawsze narzucić własną wolę, słyszymy tylko ciepłe, przyjacielskie rady. Gdy rzecz jest większej wagi i większe ryzyko, kontrola i ingerencja rodziców wzrasta, a dochodzi już do szczytów, gdy chodzi o kontynuowanie ich pracy, czy przejmowanie dorobku. Wówczas, mimo całego zaufania rodzicielskiego, powstaje cicha obawa nie tylko przed zmarnowaniem, lecz nawet przed zmianami w tym, co zostało przekazane w spuściźnie młodym i reakcja, gdy zmiany te mają pójść zbyt daleko. Tak jest między jednostkami. Ale i nieinaczej dzieje się w całych pokoleniach ludzkich. Związani z istniejącym, przez siebie stworzonym porządkiem, do niego przez lata przywykli, z niego jako z najwyższego swego dorobku dumni, pełni doświadczeń i zastrzeżeń w stosunku do wielkich porywów — nie łatwo pozwolą sobie starzy wyrwać ster życia. Za wiele posiadają i wiedzą, za wiele się napracowali, a zbyt niedoświadczeni i nierozważni są młodzi, ażeby można im było bez ryzyka przekazać to, co sami odziedziczyli i stworzyli. A czyż niedoświadczenie młodzieży, mimo całego jej zapału i wiary we własne ideały, może budzić pełne zaufanie? Nie. W starym pokoleniu nigdy tak nie było i nigdy nie będzie. Nie tak to łatwo odejść, zrzec się dawnych praw i uznać, że to co młode pokolenie niesie, może być lepsze od tego, co samemu się stworzyło i w doskonałość czego wierzyło się.

To też gdy z jednej strony powstaje krytyka i entuzjastyczny radykalizm, z drugiej przeciwstawia mu się rozwaga, doświadczenie i konserwatyzm. Z jednej dążenie do zmian na drodze postępu, z drugiej przywiązanie do istniejącego porządku rzeczy i obawa przed zmianami. Czyż wobec tego między przedstawiciela jednego i drugiego kierunku może nie powstać konflikt?

Nie można sobie wyobrazić pokolenia młodych, które tkwiłoby bez reszty w przeszłości, tak jak nie można go sobie wyobrazić w całkowitym od niej oderwaniu. Ale dystans ten będzie i winien być tym większy, czym mniej ta przeszłość jest warta i im większe są jej błędy. „Niech zapomną o nas — pisze Wielki Marszałek — o naszych walkach i cierpieniach, niech idą na nowe, tam, gdzie czar więzienia ust nie krasi lecz i jadu nie daje — niech idą swobodni, zapominając o nas, by życie nowe tworzyć...". Niech idą nieobciążeni gorzkim balastem przeszłości, pełni świeżej energii i wyzbyci nalotów czasów minionych. Niech czerpią doświadczenia i strzegą tego, co dobre — ale niech raz na zawsze **oderwą się od czasów niewoli,** jej atmosfery i **atmosfery ginącej Europy 19-go wieku...** — I to jest **cel naszej walki pokolenia młodych.** Ci, którzy wywalczyli niepodległość i dali nam wolną Polskę, tkwią w prawach przeszłości i nimi się rządzą, choć dawno już straciły swoją świeżość. Wiedzą o tym oni, wiemy i my i razem szukamy dróg wyjścia. Ale jesteśmy przekonani, że winniśmy je znaleźć my, a oni stworzą jedynie pozory zmian, które nam nie wystarczą podejmujemy walkę o przebudowę fundamentów, których oni nie chcą już ruszać, nie zaś o dobudowę nowych, coraz to innych pięter polskiego życia.

Nie wolno nam jednak zapomnieć, że walka o nową rzeczywistość i jej następstwa zależeć będzie od naszego przygotowania, od naszej woli zwycięstwa. Przeświadczeni o konieczności realizacji wielkiego dzieła, żądać mamy prawo od nich jeżeli już nie całkowitej aprobaty, to głuchego przemilczenia. Na to jednak musimy zasłużyć wiarą w głoszony ideał, przygotowaniem, wychowaniem...

Stobicki L.



Wpośród wywijasów misternych, w liście i kwiaty przedziwnie się wiążących, bramę poznańskiego pałacu Górków zdobiących, cyfra jakowaś się ukazuje: 1548...

Czas to ów, gdy sławetne miasto Poznań, w bogactwa i znaczenie zasobne, najpośledniejsze miejsce w królestwie polskim zajmowało. Czas to ów, gdy jegomość pan Hieronim Richt — z onego to Richtów domu, po wiek wieku handlem się trudniących — z kupcami Lewantu handlując, statki trzy własne w Gdańsku posiadał, czas to ów, gdy prześwietni rajcowie aż do króla Jegomości posłów w sprawach miejskich słali, a gwoli większej miasta przyozdobie z Włoch dalekich artystę ponoć wielce biegłego, Giovanniego Battistę di Quadro ku ratusza budowie sprowadzali. Richtowie, Ungrowie, Winklerowie handlem rozległym siebie i miasto bogacili. Ani zliczyłby kiedy, siła to przez gród przewieziono złota i srebra, klejnotów przecudnie się skrzących, tkanin, raz to tak lekuchnych, że niby z pajęczych nitek utkanych, kiedy indziej znów ciężkich, srebrem i złotem gęsto przetkanych, korzeni przeróżnych, a wymyślnych.

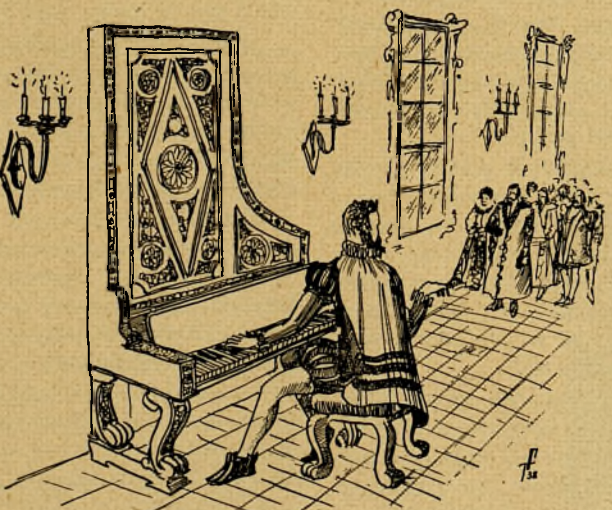


Nie same przecie ino kupieckie rody oną świetność utrzymywały.

Wpośród wywijasów misternych, w liście a i kwiaty przedziwnie się wiążących, bramę pałacu Górków zdobiących, cyfra jakaś się ukazuje: 1548.

Rojno i gwarno bywało na dworze Jaśnie Wielmożnego Andrzeja Górki. Tam z panów wielmoża dumny, kasztelan poznański i generał wielkopolski, wojennym był panem. W potrzebie wołoskiej na czele braci wielkopolskiej stawał, przewagę niejedną odnosząc. A potem, jako że w peregrynacjach wszelkich wielce się miłował, a panem był możnym, w świat ruszył daleki. Z owych zaś peregrynacji siła narodu rozmaitego przywiózł i na dworze swym poznańskim trzymał. W gędźbie i śpiewkach przeróżnych wielce się miłował, w gwarze i ruchu pańskim się lubując.

Rojno i gwarnie bywało na dworze Jaśnie Wielmożnego Andrzeja Górki. Obieżyświaty rozmaite, nacji najprzeróżniejszych, z całego świata tu zbiegły, a ten, bo pieśń rzewną, a tęskliwą, do wtóru na lutni brząkając, wywieść potrafi, ów, że na klawicymbale przebierać palcami biegle nauczon, inny, że na flecie raz smętnie, to znów skoczno zawiedzie. Tamten zaś, Francuz widmo, co właśnie w przejście się ciemne zapuszcza, snać zdybać tam chcąc, dworkę gładką, nadmiarę pięknie śpiewać potrafi. Hej, bywało to nieraz, zimowymi wieczory pieśń, którą zanucił, przepominały urzeczone dzwonki roboty misternej. A ot i Włochów gromada wpodle się bramy na dziedzińcu kupi, zamierując pewno chyłkiem się tylną bramą na miasto wymknąć. Oj, cierpieli też czcigodni mieszczanie od ich swawoli nieprzystojnej cierpieli. Gładkie mieszczki bałamucić, po gospodach hulać, jeść i pić, ile dusza jeno raczy, a jako zapłata, pogróżkami niecnymi i zgoła guzami tęgimi raczyć, ot, jaka ich profesja. Kiedy zaś halabardnicy i pachoły miejskie po bijatyce siarczystej już na ratusz ich wieść mieli, oniż to — swawolnicy bezwstydni, dworzanami się Jaśnie Wielmożnego Górki zwali i do pałacu Górkowskiego, pachołów uprzednio dobrze shukawszy, wolno wracali. A no cóż, kiedy na lutni brzdąkać umieli, a i gadki ucieszne wywodzić, piosnkę miłosną zanucić.



Nie sama ino hołotka, z całego świata zbiegła, pałac Górkowski zalegała. Jaśnie Wielmożny Andrzej Górka w ludziach uczonych się miłował, sam wielce się w sztuce medycznej lubując. Na wyprawę wołoską skrzynię ogromną, medykamentami po brzegi wypełnioną zabrać kazał i sam rany opatrywał. Na dwór zaś swój poznański doktora wielce uczonego i nadmiarę sławy zażywającego, a dopiero co do miasta swego rodzinnego Poznania przybyłego, jegomości pana Józefa Strusia ściągnął.



Z peregrynacji zaś swych dalekich jeszcze jedno upodobanie przywiózł Wielmożny Andrzej Górka. A to że nowinkarstwu wielce był przychylny. Luteran w pałacu swym gościł, opieką ich swą przemożną osłaniając, nabożeństwa im w pałacu odprawować zwalając, kaznodziejów im uczonych z Niemiec sprowadzając. Z luterańskimi Richtami rad przebywał, Hieronima specjalnie respektując, jako, że uczony i mądry był wielce. Nieraz do Górkowskiego pałacu Richtowie, kamienice swe wpodle mający, zachodzili. A bo też, po prawdzie, za Richtowskie to złoto owa wspaniałość dworu Górkowskiego. Jegomość pan Hieronim Richt tęgo mieszkiem potrząsał. Zaś Górkowie nie byle czym, bo zwoleństwem chowania Richtów w grobach rodzinnych w Kórniku się wywdzięczyli. Tam też i Richtowie z wielmożnymi Górkami leżą, sądu bożego pospołu czekając.

Rojno i gwarno bywało na dworze Jaśnie Wielmożnego Andrzeja Górki. Tłum się rozmaity, w barwne szaty odzian, po wschodach, przejściach, sieniach i komnatach snuł. Wspaniały to był Górkowski pałac, w ornamenty przeróżne zdobny, ze stropami i sklepieniami, jakie ino na królewskim wawelskim zamku uwidzieć.

Rury zaś wszelkie, którymi wodę ze studzien do komnat doprowadzano ze szczerego były mosiądzu.

Słońce, co jesienią senne jakoweś, jakby przez przędzę cieniuchną się przesiewające, złote swe błyski na oddzwiach ciężkich, zamczystych kładzie, promykiem drobnym w ciemne przejście się wśliżguje i w załamaniach sklepień nad bramami świateł-

ka igrające nieci, pyłkom lekuchnym w powietrzu tańcować każąc i po murach się wysokich, oknach, ornamentami misternie zdobnych ześlizgując, dziedziniec arkadowy na chwilę rozświetla i wciąż dalej po dziedzińczykach inszych wędrować poczyna...

Minęła świetność Górkowskiego pałacu.

Gdy ostatni z pana Andrzeja synów, Stanisław umarł, dziedzica nie ostawiając, Czarnkowscy pałac, jako i inne dobra posiedli.

Zniknęła, przeminęła, zwykłą rzeczy koleją, świetność Górkowskiego pałacu, jak przemijają dni, na których miejsce przychodzą inne, nowe i znowu inne i znowu.



Jeno, co żal jakowyś zbiera, że nie jest już ni gwarno, ni rojno w pałacu ongiś Jaśnie Wielmożnego Andrzeja Górki.

Na bramie jeno, tylko od ulicy Klasztornej pozostałej, wpośród wywijasów w liści i kwiaty przedziwne się wiążących cyfra jakowaś się ukazuje: 1548...

Alina Slawikówna

Poznań

Jerzy Krzeczkowski.

Z KRAINY TĘSKNOTY

Było cicho — jeno mi się zdało, żem we śnie —
tak jakoś cudnie liśćmi wiatr chrzęścił, szeleścił —
a jam siedząc wciąż w sadzie — patrzył na czereśnie
z duszą wprost pęczniejącą od nadmiaru treści.
W południe zefir ustał; nigdzie śladu cienia —
tylko żar płynął z nieba w z purpury opończy —
to chwila ulubiona, gdym Twego imienia
wezwał — z dala od Ciebie poemat swój kończąc.

I myślałem samotny o chwilach cudownych —
gdy wikliny szumiały nam cicho jak palmy,
gdyśmy byli wciąż tylko ze sobą, kochana,
a w uszach bezustannie dźwięczał marsz triumfalny.
Do tych chwil pragnę wrócić; zobaczę Cię jutro
i znów życie zaczniemy — tak jak dotąd było:
Ty mnie będziesz czarować pod szczęścia wiaduktem,
ja Ci będę swe wiersze czytał, moja Miła.



Królową jest broni, choć szary jej strój,
Choć nie ma ni srebra, ni złota,
Lecz w pierwszych szeregach podąża na bój
Piechota, piechota, piechota!

Słowa tej, niegdyś bardzo popularnej piosnki żołnierskiej, najmocniej określają przodujące znaczenie piechoty i jej charakter, wyróżniając ją spośród zespołu siostrzanych broni, tworzących wraz z nią dzisiejsze, nowoczesne wojska. Nie są to żadne przechwałki! Ani próba imponowania! Piechota bowiem od bardzo już dawna i na pewno zawsze będzie przodownicą w żniwnej wojennej pracy.

Konieczności istnienia licznej piechoty w ramach wojsk wszystkich narodów świata nic nie zdoła podważyć. Będąc kośćem struktury organizacyjnej każdego wojska nie obawia się piechota rozrostu siostrzanych broni: artylerii wszystkich rodzajów, jednostek pancernych i lotnictwa. Przeciwnie, szczerze i radośnie wita je, bo wie, iż rodzą się one i rozrastają po to, by ją swą pracą wspomagać, by jej w krwawej robocie frontowej pomóc i bodaj chwilowo wyręczyć.

Piechota nie jest efektownym, oczy przyciągającym rodzajem broni. Jest skromna i szary jej strój. Jej przemarszowi nie towarzyszy grozę budzący łoskot silników lub łopotanie wiatrem rozpostartych barwnych proporczyków, umocowanych do lanc kawaleryjskich.

Siłą piechoty jest jej masa. Gdy wali defiladowym krokiem po bruku, widzowie mimowoli patrzą, czy nie posypią się skry spod mocno uderzających i prężących się stóp. Błysk luf i bagnetów, wysrebrzonych słońcem, świadczy o jej przeznaczeniu: atakować i szturmem w proch rozbijać wroga, z ognia swych karabinów stworzyć zaporę nieprzebytą, z piersi zaś — taran, przed którym nic się nie ostoi.

Potęgę piechoty stanowi jej silne wyposażenie w nowoczesny sprzęt ogniowy, zdolność do manewrowania w terenie, umiejętność wykorzystywania go na polu walki i zaczepny duch, wynikający z głębokiego przeświadczenia, że ona właśnie, piechota, była, jest i będzie fundamentem i zrębem podstawowym każdego wojska.

Dzisiejsza piechota ma dużo sprzętu bojowego. Jest obciążana. Dźwiga na sobie tornister i broń z amunicją. Obsługuje z zimną krwią i sprawnie takie narzędzia boju, jak pistolet, karabin, lekki (ręczny) i ciężki karabin maszynowy, granatnik, moździerz, granat ręczny, bagnet, armatkę przeciwpancerną i armatę polową.

Włada łopatą i łopatką. Umie budować sieć łączności i obsługiwać skomplikowane aparaty łączności. Ma już nawet radiostacje.

Musi umieć dobrze maszerować. Mimo zmęczenia marszem, musi wejść w bój i prowadzić go skutecznie, tj. rozbić

nieprzyjaciela lub zatrzymać go. Toteż do zespołu broni, jakimi rozporządza i które obsługuje piechota, trzeba wliczyć podstawową broń, obsługującą piechura, — jego nogi. To nie absurd! Bronią lotnika jest poza sprzętem ogniowym, samolot, bronią kawalerzysty, oprócz karabinu, lancy i szabli, koń, bronią piechura, i to bronią kapitalnego znaczenie, były, są i będą obok już wymienionego sprzętu wojennego — jego nogi. Trzeba pamiętać, że wiele spośród swych zwycięstw, Napoleon, wielki cesarz Francuski i bóg wojny, wygrał nogami swej piechoty.

Mimo swej prozaiczności, i mimo to, że stanowią, jeśli tak można powiedzieć, „przedmiot" codziennego użytku, nogi piechura, są dla niego „artykułem pierwszej potrzeby".

Piechota dzisiejsza nie jest już właściwie „czystą" piechotą. By się o tym przekonać, wystarczy być na defiladzie lub witać pułk piechoty, wracający z ćwiczeń letnich. Nowoczesny pułk piechoty ma swą artylerię, pionierów, łączność, nawet armatki przeciwpancerne. Może więc walczyć samodzielnie. Bez oglądania się na wsparcie i pomoc innych broni. Stać go na to! W poważniejszych i dłużej trwających bojach otrzymuje piechota wsparcie ze strony broni wspierających, którymi są: artyleria, lotnictwo, jednostki pancerne itp.

A teraz kolej na udowodnienie słuszności praw piechoty do zaszczytnej nazwy: „KRÓLOWA BRONI". Królestwo piechoty nad pozostałymi broniami datuje się jeszcze od czasów sprzed Wojny Światowej. I choć w wyniku tej wojny runęło kilka tronów, „królestwo" piechoty przetrwało ją zwycięsko. Wszyscy, nawet laicy w sprawach wojskowych, byli głęboko przekonani o tym, że ciężar walki spoczywał na barkach piechoty. Dowodem tego są straty piechoty, poniesione w zabitych i rannych, trzymanie się jej w lawinie ognia i żelaza, trwanie na najbardziej ku wrogowi wysuniętych stanowiskach. Także i w latach 1818—1920 oddziały polskiej piechoty ponosiły w walkach z bolszewikami największe trudy, zraszając swą ofiarną krwią szerokie łany pól od Wisły po sine brzegi Dniepru i po modrą wstęgę Wilii, Niemna kochanki, i ścieląc gęsto swymi ciałami szlaki, wiodące do Kijowa, Mińska i Wilna.

Każda wojna ma to do siebie, że o doświadczeniach z niej wypływających nie wszyscy chcą długo pamiętać. Rozwój broni silnikowych, mających jako ochronę dla obsługi i sprzętu mocny pancerz stalowy, miał się stać, według fałszywego proroctwa niektórych doktrynerów i zaślepieńców zagranicznych, grobem piechoty. Na szczęście dla piechoty poglądy takie były nieliczne i trwały dość krótko. Tereny walk w Abisynii, Hiszpanii i w Chinach, będące — jak to wiadomo — krwawymi poligonami doświadczalnymi dla wypróbowania ostatnio wyprodukowanego sprzętu bojowego, rychło spowodowały otrzeźwienia umysłu. Okazało się bowiem, że nic nie zdołało zmniejszyć roli piechoty na polu walki, że ciężar prowadzenia jej nadal do niej należy. Tam, gdzie zawodzą takie czy inne maszyny, gdzie stają bezsilnie motory, piechur idzie, piechur walczy. Bo żyje, myśli i chce się bić!

Po tych ostatnich doświadczeniach wojennych nikt już nie poddaje w wątpliwość rozstrzygającej w walce roli piechoty. Jej „królestwo" zostało nie tylko uratowane, ale nawet wzmocnione, utrwalone.

Z kolei parę słów na temat: jaką powinna być polska piechota, ta nie koronowana królowa broni?

Odpowiedź na to pytanie dadzą nam oświadczenia najwyższych przedstawicieli naszego wojska.

Pierwszy Marszałek Polski, Zwycięski Naczelny Wódz w wojnie polsko - bolszewickiej Józef Piłsudski, tak mówi o swej piechocie w czasie, gdy dowodził I Brygadą Legionów: „Jestem dumny, towarzysze broni, że wami przewodzę; jestem dumny z kłopotu, że, gdy mam w rozkazie dziennym wymienić najbardziej godnych chwały, szukać muszę czegoś nad-

Koniec akcji



zwyczajnego, by wśród ogółu dzielnych, mężnych, znaleźć czyny, które nie będą dla nich powszednimi".

Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, Marszałek Śmigły - Rydz, jest niedoścignionym wzorem piechura. Buławę swą zdobywał znojnie i w trudach bitewnych piechoty, dowodząc kolejno batalionem, pułkiem, dywizją, grupą, armią i frontem. Toteż docenia wartość broni, z której wyszedł na szczyty hierarchii wojska.

Najstarszy spośród piechurów, generał broni Sosnkowski, tak mówił o piechocie:

„Piechota była, jest i będzie królową broni: na nią spadały dotychczas i spadać będą w przyszłości główne ciężary boju. Ona to właśnie walcząc bezpośrednio, pierś w pierś, rozstrzygać będzie o wyniku bitwy. Ona najwięcej cierpi na polu walki, ponosi największe ofiary krwi. Ona, wśród nie-



Na postoju

wymownych trudów fizycznych, musi zachować zasób sił moralnych, pozwalających zwycięsko przetrwać najcięższe perypetie boju, których żadna inna broń nie przeżywa w równie bezpośredni sposób.

Gdy myślę o zagadnieniu sił moralnych na wojnie, myśl moja biegnie przede wszystkim ku piechocie, gdyż bez dobrej piechoty nie ma dobrej armi.

Ja wierzę w naszą piechotę".

Streszczając można by powiedzieć, że **królowa broni — piechota musi być pełna temperamentu i rozmachu, musi mieć ducha zaczepnego, zdobywczego, ale jednocześnie musi być wytrwałą, twardą i niezłomną w obronie tego, co nasze. Wtedy swoi będą ją szanować, a obcy będą się jej bać!**

Wude.



Defilada



JAK pracowali wielcy ludzie?



Na metody pracy twórczej w ogóle istnieje wiele różnych od siebie poglądów. Jedni twierdzą, że wartość niewątpliwą i ugruntowaną posiadają tylko te dzieła, których dokonano powoli, dzień za dniem, z rozwagą i cierpliwością. Drudzy zaś utrzymują wręcz przeciwnie, że największe dzieła stworzono w natchnieniu, t.zn. w nagłym przypływie twórczej energii.

Trudno tu wyrzec, który z tych poglądów jest bliższy prawdy. Metod pracy jest bowiem tyleż, ile i pracowników. Są one zależne od cech charakteru i uzdolnień oraz warunków, w jakich człowiek żyje. Przeważnie widzimy, że wielcy ludzie, osiągnąwszy pełną świadomość swych dążeń i zdolności, obierają sobie tę lub inną metodę, odpowiadającą im najbardziej. Do tej szczęśliwej pory szukają i błądzą, jak każdy śmiertelnik.

Atoli pewnikiem jest to, że praca i zdolność do niej zostaną na zawsze nieomylnym miernikiem wartości wewnętrznej człowieka. Wielcy myśliciele posuwają się nawet do twierdzenia tak śmiałego, że praca jest wszystkim i nic jej w pełni nie zdoła zastąpić.

Niechaj poniższe przykłady, opisujące różne metody pracy wielkich ludzi, staną się potwierdzeniem naszych tutaj wywodów.

Balzac kładł się spać zaraz po południu, wstawał o północy i pisywał aż do rana; wypijał przy tym nieprawdopodobną ilość czarnej kawy.

Boecklin, powziąwszy raz jakiś pomysł, nie odkładał pędzla dopóty, dopóki nie wykończył całkowicie obrazu.

Cezar Juliusz tak potrafił wyłączać się z otaczającego go świata, że mógł pracować w każdej okoliczności i czasie.

Deledda Grazzia, lauraetka Nobla za literaturę, codziennie po trzy godziny spędzała przy biurku.

Dostojewski potrzebował do pracy ciszy i nastroju, jakie daje noc; pisywał przy zamkniętych okiennicach i płonących świecach.

Flaubert był wzorem dokładności i uczciwości pisarskiej; przestudiował np. sto dzieł o uprawie roli, by nie minąć się z prawdą w jednej ze swych powieści.

France tworzył z wielkim mozołem. Każde zdanie sprawiało mu niesłychany trud. Zrywał się z krzesła i chodził po pokoju tak długo, póki nie ułożył następnego.

Goethe dyktował swe dzieła, chodząc po pokojach z założonymi na plecach rękami. Miał bardzo rozległe zainteresowania i pracował niestrudzenie aż do śmierci.

Hamsun, w okresie literackiego nowicjatu i głodowania, nie posiadając mieszkania, pisał wiele na ulicy, w parku, kościele i w klatkach schodowych. Dziś tworzy przeważnie w łóżku, a dzięki młodzieńczej wprawie, potrafi pisać po ciemku.

Ibsen tak się wdrożył, że codziennie pisywał jednakową ilość stronic i nic nie zdołało go od tej zasady odwieść.

Kant pisał, przeważnie stojąc przed pulpitem.

Milton, „oślepły Homer nowoczesny", dyktował swe prace żonie i córkom.

Reymont, podobnie jak Hamsun, pisywał za młodu gdzie się dało. Był wzorem całkowitego wyłączenia się na czas pracy z otaczającego go świata.

Rousseau po kilka godzin rozmyślał nad jednym słowem, czy całkowicie i pięknie wyraża daną treść.

Sand George zasiadała do pisania dopiero wówczas, kiedy cały dom zasnął, a kładła się na spoczynek o świcie.

Sienkiewicz był wyznawcą łacińskiej zasady: „nulla dies sine linea" (ani jednego dnia bez wiersza); pisał z trudem i powoli.

Sokrates, zastanawiając się nad rozwiązaniem jakiegoś zagadnienia, zwykł był zatrzymywać się nawet na ulicy tak długo (czasem parę godzin), dopóki nie znalazł nań odpowiedzi.

Szyller miał przedziwny nawyk: pracował najwydatniej osobliwie wtedy, gdy czuł woń gnijących jabłek. Dlatego też w szufladzie jego biurka stale leżało kilka tych owoców.

Tołstoj, podobnie jak Dostojewski, zwykł był pracować przy zamkniętych okiennicach i dwu płonących świecach.

Twain Marek napisał niejeden ze swych utworów humorystycznych, przez kilka dni w ogóle nie wstając z łóżka.

Stefan Spyra.

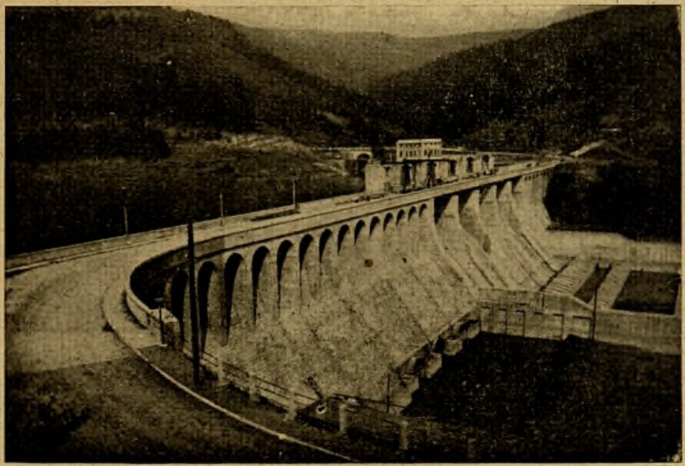
TAMA W PORĄBCE

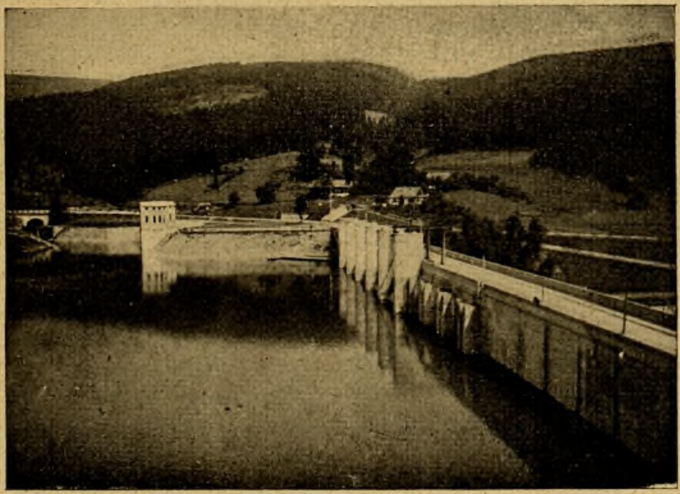
Mała, górska osada w dolinie rzeczki Soły na północnym stoku Beskidu Zachodniego, stała się od kilku lat powszechnie znaną miejscowością, wskutek budowy pierwszej zapory wodnej na rzece Sole. Zapora ta jest dotychczas największą budowlą wodną w Polsce, nic więc dziwnego, że jest dumą nie tylko hydrotechników polskich, lecz i wszystkich tych, którym nie jest obojętne urządzenie i zagospodarowanie naszego kraju.

Jako nieodrodny „wodziarz", korzystając z urlopy w lipcu br. wybieram się zobaczyć „Porąbkę", której nie widziałem już od dwóch lat, a w ciągu tak wiele tam się zmieniło. Najdogodniejsza droga prowadzi przez Bielsko stam-

tąd autobusem w ciągu godziny można się dostać do Porąbki, a dokładniej do Międzybrodzia na samą zaporę, która jest końcową stacją autobusową.

Od chwili uroczystego zakończenia budowy w grudniu 1936 r., zapora stała się miejscem pielgrzymek dla licznych wycieczkowiczów z całej Polski, szczególnie zaś ze Śląska; wabi ich sztuczne jezioro długości 7,7 km., szerokości dochodzącej do 800 m i pojemności 32 mil. m³ wody, oraz monumentalna budowa ujarzmiająca niesforną rzekę tak niedawno jeszcze dającą się we znaki swymi wielkimi i gwałtownymi powodziami mieszkańcom jej doliny a nawet odległego Krakowa.





Cóż to takiego jest ta zapora zbudowana na rzece Sole powyżej Porąbki i co daje utworzony przez nią zbiornik, że przedsięwzięciu temu poświęcono 20 mil. zł. i 25 mil. godzin roboczych?

Otóż celem tej budowy było przede wszystkim poprawienie odpływu wód na Sole, która jako typowa rzeka górska ma wielkie wahania w przepływie wody dochodzące od 1,6 m³/sek w okresach suszy do 1700 m³/sek w porach deszczowych, przyczem wezbrania jej cechuje wielka gwałtowność. W szczególności zaś chodziło o:

1. ochronę gruntów, osad, komunikacji i robót regulacyjnych,
2. zmniejszenie fali powodziowej i wezbrań Wisły pod Krakowem do pojemności przekroju ograniczonego wałami i bulwarami,
3. zgromadzenie wód w jednym zbiornika i wyzyskanie energii wodnej rzeki Soły.
4. podniesienie najniższych stanów wody na górnej Wiśle ze względu na potrzeby żeglugi.

Pierwszy projekt zapory wykonany w 1914 r. został następnie podjęty w odrodzonej Polsce i na polecenie, oraz według wskazówek ówczesnego Ministra Robót Publicznych śp. Prezydenta prof. Gabryela Narutowicza przerobiony; w 1921 roku przystąpiono do wstępnych robót wykonawczych.

Jednak w latach następnych wobec braku zainteresowania i odpowiednich funduszów roboty niewiele posunęły się naprzód i dopiero w 1933 r. po utworzeniu Funduszu Pracy robota raźno ruszyła i w ciągu następnych trzech lat zaporę zbudowano.

O rozmiarach wykonanej pracy najlepiej mówią następujące dane charakteryzujące zaporę:

Jest to mur ciężki z betonu plastycznego, fundowany na podkładach skalnych, do budowy którego zużyto 990.000 m³ betonu. Długość zapory równa się 260,3 m., szerokość zaś muru w koronie, służącej jako droga, wynosi 8,40 m. Wysokość przegrody nad korytem rzeki Soły wynosi 22 m, zaś od najniższego punktu fundamentu do korony muru jest 38,2 m. Aby zapobiec spędzaniu tak wielkiej masy betonu pod wpływem skurczu przy jego wiązaniu się i zmianach temperatury w różnych porach roku, podzielono zaporę na 10 oddzielnych bloków uszczelnionych pomiędzy sobą asfaltem i blachą miedzianą.

W prawym skrzydle zapory znajduje się trzy rury turbinowe, przy wylotach których będzie postawiony zakład wodno - elektryczny o trzech turbinach i mocy instalowanej 20.000 KW, który będzie w stanie wyprodukować 27 mil. kilowatgodzin energii rocznie.

Pośrodku zapory znajduje się pięć przelewów o szerokości 11,18 m. każdy, zamykanych elektrycznie płaskimi zasuwami żelaznymi, a mogących przepuścić 1200 m³/sek wody warstwą grubości 4 metry. Woda ta spadając z wysokości 20 m. posiada energię równą 240 tys. koni mechanicznych, którą następnie musi stracić na trzech rzędach szykan (zębów żelbetowych) umieszczonych u stóp zapory na płycie betonowej, aby dalej płynąć spokojnie nie niszcząc uregulowanego koryta rzeki.

W lewym brzegu rzeki wykonano dwie sztolnie (tunele) obiegowe, które w czasie budowy odprowadzały wodę rzeki Soły, a obecnie służą jako rury spustowe dla wody w zbiorniku.

Po ukończeniu zapory i wypełnieniu zbiornika wodą, dolina rzeki Soły pomiędzy Porąbką i Tresną zmieniła gruntownie swój wygląd. Pod zalew wywłaszczono za odszkodowanie 380 ha gruntów, na których znajdowało się 226 gospodarstw. Pobudowano piękne nowe mosty i doskonałe drogi, przy których pobudowali wywłaszczeni nowe schludne i i piękne domki i wille. Cała dolina ożywiła się i wypiękniała, to też nic dziwnego, że cieszy się tak wielkim uznaniem wśród turystów i wycieczek szkolnych.



Jan Kaźmierski

„na tajbie" PRZEZ JEZIORO PEIPUS

(Korespondecja własna „Młodego Nurtu").

Nabrzeża rzeki Emajogi w Tartu zatłoczone były przez niesłychanie szerokie barki, załadowane szczapiną. W tej części Estonii niemal powszechnie używa się na opał drzewa lub torfu, to też wszystkie stacje zawalone są sągami brzeziny, świerczyny lub olszyny oraz symetrycznymi stosami kopalniaków.

Statek nasz nie ma więcej jak 20 — 25 metrów długości; piętrzą się na nim góry wszelkiego rodzaju towarów. Są tu sieczkarnie i niewyprawione skóry, papa i krzesła, chleb i zboże. Dla pasażerów miejsca mało. Kabina maleńka, duszna. Tuż przed odjazdem na statek zwala się oddział młodzieńców o nagich kolanach i długich, rozwichrzonych czuprynach. Harcerze? Mówią z sobą po niemiecku. Sprzeczamy się — skąd? Twierdzę, że nie z Rzeszy, bo żaden nie nosi swastyki, choć spod tego znaku się wywodzą. Dopiero przypadkowo wyjęty przez jednego z nich paszport zdradza przynależność państwową: Czechosłowacja. Co ich zaniosło w te strony, na ten nieuczęszczany przez turystów szlak?

Chłopaczyska mają wściekły apetyt i pojadają ciągle. Ale i jedzenie jest zorganizowane: jeden kraje długi bochen razowca, drugi smaruje kromki masłem, trzeci soli i podaje kolegom. Na obiad otrzymują „pajdy" chleba z kawałkiem kiełbasy, na deser zaś... kawał bułki z masłem.

Tymczasem statek odbija i płyniemy wzdłuż brzegów płaskich, błotnistych, monotonnych. Wsi tu nie ma, są tylko z dala od siebie rozrzucone gospodarstwa pojedyńczych osadników. Na mocy ustawy całą większą własność rozparcelowano pomiędzy uczestników walk niepodległościowych, zostawiając dawnym właścicielom (o ile nie uciekli w ogóle z kraju) zaledwie po parę dziesiątków hektarów.

Ale oto i ujście rzeki Emajogi do jeziora Pejpus albo Czudskoje (po estońsku: Peipsi). Przy ujściu cynamonowej barwy strażnica estońskiej straży pogranicznej. Obok szybkobieżne kutry. Wypływamy na jezioro. To małe morze: 3583 km kw. Przeciwległego brzegu oczywiście nie widać. Wzdłuż środka jeziora biegnie granica estońsko - sowiecka.

Młody marynarz - Rosjanin, chłopak o wielkich, ocienionych długimi rzęsami oczach opowiada mi o stosunkach, panujących na jeziorze. Jest ono wprawdzie bardzo rybne, ale ryba jakoś się trzyma raczej sowieckiego brzegu, toteż się zdarza, że rybacy w pogoni za lepszym połowem zapędzają się w strefę wód rosyjskich. Na nich właśnie polują motorówki sowieckiej straży pogranicznej. Oni sami (t. zn. ich statek) parę lat temu podczas gęstej mgły zabłądzili i trafili na tamtą stronę. Przetrzymano ich trzy dni...

Marynarz przerywa swoje opowiadanie, bo od brzegu płynie łódź z kilkoma ludźmi. Nasza „łajba" kieruje się na spotkanie, rzuca sznur, łódź staje burtę w burtę z nami. Przesiadają się pasażerowie, wyładowują towar, biorąc na pokład wory cebuli, której tutaj na wybrzeżu uprawiają dużo i ruszamy dalej. Statek obsługuje całe estońskie wybrzeże jeziora, stanowiąc niemal jedyny łącznik ze światem. Wsie zamieszkane są przez Rosjan.

Właśnie z kajuty drugiej klasy wynurza się brodacz z miejska ubrany, o szerokiej dobrodusznej, rozanielonej alkoholem twarzy. Z wewnętrznej kieszeni marynarki sterczy mu opróżniona do połowy flacha „czystej". Brodacz zbliża się do opartych o burtę dwóch pomniejszych brodaczy i oto widzę ich, jak — zataczając się — obejmuje jeden drugiego, jak się całują, jak popijają z butelki. Brodacz wzywa nas i cały świat



Klasztor z r. 1565

Granica estońsko-rosyjska



Ze stojącym obok mnie robotnikiem z huty wdaję się w rozmowę.

Opowiada, że w tym oto mijanym właśnie dworze mieści się sierociniec. Ten oto piękny most zbudowano przed rokiem. Rzeka w tym miejscu robiła kolano. Przekopano je, prostując koryto... Wynurzenia te przerywa nieoczekiwany incydent. Kotły naszego statku opalane są drzewem. Gdy wiatr się odwróci, lub gdy palacz doda do paleniska nową porcję szczapiny — z komina bucha chmara rozpalonych cząsteczek drewna. Nagle spostrzegamy, że ubranie na nas poczyna się w wielu miejscach tlić. U jednego z młodych Niemców wypaliła się w swetrze dziura wielkości dłoni. Dużo z tego śmiechu, ale i przykrość niemała, gdy oglądamy zniszczoną garderobę.

na świadków, że on „krasawiec, kartina" (piękny mężczyzna, po prostu obraz). Młodzi Niemcy patrzą na niego, śmieją się, fotografują go. Kiedy wrócą do swej ojczyzny — opowiadać będą o „dzikim, pijanym Rosjaninie"...

A on podchodzi do nich i wskazując na wschód, gdzie na horyzoncie woda zlewa się z niebem, gdzie są Sowiety, woła, że on Rus, a tam Rosja. Rosja, Rosja! — powtarza z pijackim uporem, jak gdyby mówił o ziemi obiecanej. Twarz cała skurczona grymasem uśmiechu, ale w szarych oczach tai się bezbrzeżny smutek.

— Eech — powiada — żebym tak ja ich mowę znał, ja bym im przewodził! — i w tych słowach czai się podświadome przekonanie o wyższości nad Niemcem, „Germańcem".

Chłopcy stoją dookoła, pośmiewają się, patrząc jak na jakiegoś zwierzaka w cyrku, odpychają butelkę, gdy chce ich uraczyć wódką. Wiatr dmie coraz silniejszy, fala coraz większa rozpryskuje się o burtę statku, zmusza nas do krycia się za nadbudówkę. Kilku chłopców wlazło pomiędzy towary na dziobie statku, przykrywając się „plandeką". Kiedy brodacz, zatoczywszy się, oparł się na jednego z nich, przypuszczając, że to są koleżeńskie żarty, dali mu poprzez brezent szturchańca. Brodacz obejrzał się: rzecz dziwna — biją go, a nie widać kto. Lecz coś się rusza pod brezentem. Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz pijaka. Nawalił się całym ciałem, jak niedźwiedź, na brezent i zaczęła się ucieszna walka z niewidocznymi przeciwnikami.

Wraca do mnie młody marynarz, podejmując rozmowę o położeniu Rosjan w Estonii (jest ich 8,2%), mówi z niekłamanym uznaniem o Estończykach, którzy na przestrzeni 30 lat ogromnie się — według niego — zmienili na korzyść. Ta niezaprzeczona schludność, gospodarność, rządność — to owoc tych paru dziesiątków lat wytężonej pracy nad sobą...


Typy ludowe

I znów powraca stale przewijający się motyw, iż przykro im, synom ogromnego narodu, być pod władzą Estończyków...

Słucham i myślę, że z górą dwa wieki parła Moskwa ku wybrzeżom Bałtyku, rzucając jako pomost swojej ekspansji setki i setki tysięcy trupów ze swych nieprzebranych zasobów ludzkich. I w tym dążeniu do oparcia się o zachodnie morze podbiła, ujarzmiła tyle ludów, stanęła mocną nogą w Helsinkach i w Tallinnie, w Rydze i Połądze.

I potem przyszła jedna wielka, przegrana wojna, a morze rosyjkie gwałtownie odpłynęło daleko na wschód, zostawiając za sobą takie oto wysepki rosyjskości, takich oto niedobitków i wykolejeńców, co do swej wielkiej macierzy euroazjatyckiej i tęsknią i boją się jej zarazem.

Witold Wroński

CZY JESTEŚMY IM POTRZEBNE?

Marysia.

Marysia ma lat 16. Nie można jej nazywać „emigrantką", ponieważ od dzieciństwa wychowała się w Polsce u ciotki.

Od dwóch lat dopiero jest we Francji, dlatego może jest taka inna, niż reszta dziewcząt w kolonii Południowej Francji. Po powrocie z kraju, gdzie była w wiejskiej drużynie harcerskiej i uzyskała stopień ochotniczki, patrzyła na swoje rówieśniczki niemal że z obrzydzeniem. Ich kultura i sposób zabawy raziły ją na każdym kroku. Stwierdzała ciągle, że tu jest całkiem inny świat pojęć moralnych i uczynków na codzień. Ciotka, kościołek wiejski, pani nauczycielka śpiewająca z młodzieżą litanię w piękne majowe nabożeństwa, katecheta prowadzący ich każdej niedzieli do kościoła i to wszystko „takie inne", co nakazywało na każdym kroku zastanawiać się: czy aby nie grzech, co ciocia pomyśli, co sąsiedzi sądzą, co wieś powie — gdy ksiądz wypomni z ambony...

Pamiętała doskonale, że tam też się młodzież bawiła. Ale jakoś inaczej, bez tej zmysłowości, pudru i szminki, wydawnictw paryskich i kina, pustoty francuskich słów i piosenek. Chłopcy, choć się często i pobili, „to jednak byli chłopcy, co i do wojska szli polskiego i na gospodarzy wychodzili", ale gdzieby tam który „kazał sobie u fryzjera włosy rurkować lub golić brwi", — i tak ordynarnie odnosić się do dziewcząt... To ją ogromnie raziło i do dziś jeszcze nie może zrozumieć dlaczego rodzice we Francji są tacy podobni do rodziców w Polsce, a dzieci już takie całkiem inne. Smutno jej było z tego powodu i nie mogła w ciągu kilku miesięcy znaleźć w C. odpowiedniej koleżanki. Aż wreszcie nauczycielka wezwała ją do siebie i po rozmowie prosiła ją o zajęcie się dziewczętami, które były ubiegłego roku na obozie harcerskim.

Wówczas dopiero odżyła. Dziewczęta od pierwszej zbiórki garnęły się do niej i przywiązały. Przygotowała z najlepszych grupę siedmiu dziewcząt na obóz do Grenady, a sama wyjechała na kurs drużynowych do środkowej Francji. Tam dopiero przyszła trochę do siebie. Zobaczyła w formie i treści pracy — Polskę. Rozpogodziła się jej dusza, wyprostowała Marysia grzbiet i nabrała wielkiej ochoty do marszu, choćby z przeszkodami... Nieraz śpiewając i marząc przy wieczornym ognisku snuła w myślach plany uratowania tych dziewcząt w kolonii, gdzie stale mieszkała. „Gdyby tak można było je ująć i poprowadzić, gdyby mi dobry Bóg dał tyle sił, wiedzy i woli, abym mogła maszerować z nimi — w przeciwnym kierunku, niż ich dzisiejsza droga..." — tak nieraz myślała.

Po kursie powróciła skrzepnięta. Dziewczęta też jakieś inne zastała, bo część ich złożyła na obozie przyrzeczenie. W małej drużynie pojawił się wielki duch. Dobrze jej było teraz z dziewczętami, co śpiewały te same pieśni, jakoś podobnie myślały, bawiły się i jeszcze dobrze nie ochłonąwszy z wrażeń obozowych, układały plany na następny rok. Zbiórki odbywały się normalnie przy obecności niemal wszystkich zapisanych. Ale w listopadzie ojciec orzekł, że w domu nie ma tyle pieniędzy, aby mogła nic nie robić, i niedługo potem znalazł jej pracę w domu zamożnych Francuzów w Albi. Zmianę warunków i oderwanie od swoich dziewcząt przechorowała. Szczególnie gnębiło ją to, że nie ma kto po niej prowadzić zbiórek, bo wiedziała i czuła przecież dobrze, że tylko ona dziewczęta rozumie, a one ją. Drużyna upadła, mimo, iż zastępczyni, która też z nią była na kursie, usiłowała coś niby robić. Widziała drużynowa - Marysia, że tamta nie miała „serca" do tej roboty i że nic z tego nie będzie.

I teraz nic się nie zmieniło. Marysia służy nadal, a drużyna śpi, czekając na jej powrót. Marysia marzy o powrocie do C., bo teraz to już jest inaczej, niż dwa lata temu. Teraz to czekają na nią dziewczęta, z którymi tak się rozumie... Ale gdyby dobry Bóg pozwolił jej wyjechać i w tym roku na kurs — znowu wyprostowałaby sobie grzbiet, skrzywiony niańczeniem dzieci francuskiego kolejarza, u którego służyła. Uśmiechnęłoby się słońce, jak wtedy, gdy wracała z Ambert do dziewcząt, snując plany.

Stanisława Bahyrycz



Reportaż z kopalni na G. Śląsku.

Wyrzuceni na ulice zadymionego miasta, niby cienie snujemy się wśród czarnych osmalonych węglem kamienic, wśród ziejących żarem ognia kominów, fabryk i kopalń. Poprzecinane torami kolei elektrycznych, wzmocnione linami żelaznych drutów ulice miast śląskich nie kończą się ślepo. One wiodą do przybytków bogactwa i żmudnej, ciężkiej pracy, wiodą tam, gdzie miarowym, głuchym odgłosem rytm kilofa wydzwania Polsce niedeklamowaną przyszłość.

Na końcu tych ulic u bram wita nas niskim, matowym głosem i treścią magicznych, głębokoznacznych słów, stary górnik - portier. Z pozdrowieniem „Szczęść Boże" przechodzimy przez bramę kopalni „Prezydent Mościcki" w Chorzowie.

W nieopanowanym uczuciu obcości, splecionym z żądzą poznania innego, nowego życia, stajemy przed groźnym, a jakże miękkiego serca, panem nadsztygarem. Po krótkich lękliwych tłumaczeniach, niby że młodzież... gimnazjum... pismo... reportaż... szybem Św. Wojciech zjeżdżamy do czarnych podziemi.

Z płonącą karbidówką w lewej, z laską w prawej ręce, w czarnym, górniczym, na codzień, do pracy przeznaczonym stroju, krok za krokiem postępujemy za naszym Cyceronem, starym „wygą" kopalnianym, sztygarem, który nie zna sentymentów i rozczuleń, którego treść życia zamknęła się w domu czarnych ścian i tysięcznych korytarzy.

Tam na dole... wita nas życie uśmiechnięte nie zielenią wiosny i skąpanych w promieniach słońca kwiatów, a to inne, ciche i bezbarwne, obdarte z powabów poezji, zamknięte w sobie, w wnętrzu swych tajemnic noszące głęboki sens.

Wzdłuż długich, niskich i wąskich korytarzy, których pomrok rozświetlają lampy elektryczne, pędzą według ustalonego rozkładu zwinne, szybkobieżne, elastyczne niby węże, pociągi. Skład ich zawiera kilkanaście wagoników pustych, dążących po nowy ładunek, lub przepełnionych węglem, który niebawem dostanie się na powierzchnię. Ruch, sygnały, dzwonki ożywiają tę część podziemi, która nie jest już produktywną i która przed laty oddawała swe skarby na użytek człowieka.



I oto nadjeżdża...

Uwaga! drut prześlizgowy! nie wolno dotykać — wysokie napięcie!

Wsiadamy! W pustym składzie kolejki jedziemy bez końca.

Tam pod ziemią stworzono nowe, długie, oświetlone ulice, pobudowano tory, kolejki, rozproszono ciemność. Wtargnęło życie, jakże jednak inne od tego które znamy.

Na docelowej stacji wysiadamy, by teraz już odbyć dalszą, właściwą podróż per pedes apostolorum.

Znikły przewody i lampy elektryczne; blask naszych latarek oświetla nam drogę, po której w nierównych odstępach czasu wloką się, pchane przez górników wagoniki naładowane węglem.

Kręte korytarze bywają co raz więcej nieuporządkowane, co raz niższe, węższe i jakby bardziej mroczne, czarniejsze. Podparty belkami pułap, niby memento dla czarnych władców podziemi, przypomina, że za masywem spiętrzonych głazów kryje się niebezpieczeństwo.

Docieramy do poszczególnych skupisk pracujących ludzi.

Rzucone „Szczęść Boże", tradycyjne, odwieczne, treściwe choć bezbarwne i niedźwięczne powitanie, nie zawsze dojdzie uszu, mocującego się z czarnymi głazami, górnika.

Ciszę rozdziera krzyk wiertarki, z trudem wrzynającej się w boczne ściany węglowego korytarza.

Leniwa, senna i żmudna nad wyraz praca, poezja nie słów a czynu, przykuwa do siebie swą ważkością, wzbudza podziw i szacunek.

Załoga kilku, czasem kilkunastu górników robi chodnik, wydobywa węgiel. Podział pracy ułatwia postęp ku przodowi.

Jedni, ręczną wiertarką, pędzoną dynamem, robią głębokie luki, w które inni wkładają materiał wybuchowy, ażeby za jego pomocą rozerwać ścianę, wedrzeć się głębiej.

Rozrzucone po wybuchu odpadki: głazy, kostki i miał — młodzi adepci-górnicy ładują do wagoników. „Majstrowie-budowniczy" belkami, które dźwigają strop korytarza, stwarzają gwarancję bezpieczeństwa pracy, dalszego postępu wśród zbitej masy węglowej.

Pochyleni górnicy nie odwracają głów, kiedy z boku, góry czy przodu słychać niebezpieczny, wręcz groźny pomruk nieprzebranych złoży węglowych, trzask i łamanie.

Znają twardą mowę swych podziemi...

Wierzą swemu opiekunowi, sztygarowi, który kieruje, doradza, poucza, który wyrywa ich z paszczy wiecznie głodnego ofiar molocha. Sztygar sprawuje władzę kierowniczą w swym oddziale, na które (w liczbie sześciu) podzielona jest cała kopalnia. On decyduje o zaniechaniu dalszego rąbania chodnika, on wespół z podwładnymi rozpozna groźbę niebezpieczeństwa.

Pracą rąk, kierowanych umiejętnie rozszerzają się i wydłużają chodniki, rośnie liczba wagonów węgla.

Przez jedną dobę załoga około 34 ludzi wyrąbuje przeciętnie 15 m. chodnika. Zmiana zmęczonych rąk i ludzi odbywa się trzy razy na dobę; — siedem i pół godziny spędzonych przez górnika w pyle węgla wypełnia trud nieprzeciętnej pracy.

W jednym tylko wypadku, tam pod ziemią, wśród czarnej masy węglowego złoża maszyna zastępuje skutecznie człowieka. Potężny w działaniu „Samson", maszyna wrębowa, pędzona prądem, przy załodze nie 34, a 17 (—20) ludzi robi w ciągu doby również 15 m chodnika.

Oświetlona małymi górniczymi latarkami maszyna pokazuje straszne, stalowe kły, którymi z niezwyczajnym uporem przecina twardy kamień węglowy.

Maszynista - górnik zatrzymuje, opowiada... kończy:

Tak, to nasza chluba w kopalni, to wielkie dzieło, nasz przedmiot miłowania.

Na żelaznych torach porusza się maszyna, wystawia

daleko przed siebie swój długi, szeroki, stalowymi kolcami okolony ozór zębaty i nim zapuszcza się w głąb—kraje przecina... Zdolny operator-maszynista co chwilę przerywa działanie, cofa maszynę ku tyłowi, zapuszcza ząb w inne miejsce; pracowitym , wolnym a docelowym krokiem posuwa się zawsze do przodu.

Warkot maszyny i straszny szum wrzynającego się w węgiel „zęba stalowego" rozdzierają ciszę mrocznych podziemi. Słowa pozdrowień „Szczęść Boże" czytamy wzajemnie na we-rycie. Jeszcze jednym tryumfalnym spojrzeniem żegnamy „żelaznego robotnika" podziemnego i docieramy do innych tajemnic prozaicznego, pięknego swą prostotą, wartością i znaczeniem życia kopalni.

Nasz przewodnik zaspakaja jeszcze ciekawość streszczoną w słowach pytania: Jak dochodzi i czy nie brak powietrza?

Jak pan widzi, grube, żelazne rury ciągnące się u naszych stóp wzdłuż chodnika służą dla doprowadzenia zgęszczonego powietrza. Tamy wentylacyjne dla jego regulacji rozwiązują sprawę zupełnie zadowalająco.

Z niedowierzaniem wysłuchałem jego słów, zaczerpnąwszy uprzednio powietrza, którego gruby, czarny osad przedzierał się przez usta i nos do płuc.

I tak — po kilkugodzinnej wędrówce — bogaci w różnolite, o wielkiej skali rozpiętości wrażenia, poznaliśmy niektóre zakamarki, tajemnice życia kopalni, która wypełnia pracowity żywot ponad tysięcznej załogi, dostarczającej około 50 tysięcy tonn węgla w ciągu jednej doby.

Mit, gloryfikacja pracy we wszelakim sensie tam, w kopalni nabiera właściwej sobie doniosłości.

Sztygar - przewodnik żegnając nas w podziemiach w promiennym uśmiechu niesie swą radość, że oto młodzież polska na ławie szkolnej, docenia pracę jego rąk i jego podwładnych górników. Śmiałymi myślami o potężnej Polsce — przyszłości wydaje się dzielić z całą młodzieżą, jej zwierza się ze swych głębokich snów — tajemnic.

Z tak spotęgowanymi wrażeniami, wielki szyb wyrzuca nas na powierzchnię. Chciałoby się chwilę odpocząć, uporządkować liczne, silne doznania. Nie pozwala uprzejmy, zachęcający głos nadsztygera:



A teraz jeszcze sortownia!

Tak, to nie koniec, — pozostał do zwiedzenia inny jeszcze oddział kopalni, różny od tamtego. Miejsce nie pozwala na jego opis, — zadowolić się musimy krótkim stwierdzeniem, że jak tam w kopalni opiera się wszystko na pracy mięśni ludzkich, tak tu na pracy maszyn, potężnych gigantycznych tworów żelaznych.

Wyciągany w olbrzymich koszach węgiel, za pomocą maszyny i grubych lin stalowych, plecionych z cienkich nitek, z wysokiej wieży stacza się po kilkunastu walcach i sitach, rozdziela się na różne wielkości i wpada do podstawionych wagonów kolejowych. W nich zważony za pomocą automatycznej wagi, gotowy jest do odjazdu hen daleko, do wszystkich zakątków Polski i do eksportu zagranicę.

Węgiel polski, polską wydobywany ręką rozchodzi się w świat, przypomina wszystkim wokół, że tam w kopalniach, w ognisku żmudnej pracy jest jeden z zasadniczych etapów budowy silnej, na mocnych podstawach ugruntowanej niepodległości państwa.

Pamiętając skąd pochodzi, do tych którzy go wydobywają płynie potężne pozdrowienie młodzieży i narodu całego: „Szczęść Boże"!

Bolesław Łaszewski.



GÓRNIK

Pochylasz swój grzbiet do przodu, to znów odchylasz go w tył,
w oczy i w płuca się wdziera, węglowy, czarny pył.

W pokłady czarnego diamentu walisz i walisz oskardem
— kamień węgielny jest twardy — jak twoje ręce — twarde.

Stopy swe wsparłeś szeroko, by nabrać większego rozmachu
— płuca masz przegryzione od gazów podziemnych zapachu,

Walisz i walisz oskardem — czarny nam węgiel kujesz
bez słońca i nieba błękitu — pracujesz. Ciężko pracujesz.

Pochylasz swój grzbiet do przodu, to znów odchylasz go w tył,
w oczy i płuca się wdziera, węglowy, czarny pył.

Nowotarska Róża

POLSKA I EUROPA W OCZEKIWANIU

Najważniejszym z ostatnich wydarzeń w wewnętrznym życiu Polski było

rozwiązanie Sejmu i Senatu

zarządzeniem P. Prezydenta Rzplitej z dnia 13 września br. Przyczyną tego nagłego postanowienia Głowy Państwa, jak głosi to rozporządzenie, było stwierdzenie, że w ostatnich paru latach w życiu naszego Państwa zaszły daleko idące przemiany, wyrażające się głównie żywszym, niż dotychczas udziale społeczeństwa w pracy dla Państwa. Toteż wybrane przed trzema laty Izby Ustawodawcze, które winny być wyrazem dążeń i przekonań ogółu obywateli, nie mogły już, wobec zmiany nastrojów, spełnić właściwie swojej roli. Nowe wybory rozpisane na dzień 6 listopada br. odbędą się oczywiście w ramach obowiązującej ordynacji wyborczej. Ta ostatnia wywołuje jednak szereg zastrzeżeń w społeczeństwie i z tego też powodu pewne grupy opozycyjne ogłosiły już, że nie będą brały udziału w głosowaniu, oczekując zmiany ordynacji. Nie jest to może stanowisko słuszne — nie tylko dlatego, że uchylają się one od wzięcia odpowiedzialności za kierowanie państwem, lecz i dlatego, iż nie będą mogły uczestniczyć w układaniu nowej ordynacji, której uchwalenie będzie najważniejszym zadaniem nowych Izb.

W czasie jednak, gdy wewnątrz Państwa całe społeczeństwo gotuje się do ważnych aktów wyboru nowego Parlamentu i władz samorządowych, coraz goręcej zaczyna się robić w środkowej Europie, gdzie po czasowym uspokojeniu sytuacja zaczyna dochodzić do punktu najwyższego napięcia. Zaczęło się od dorocznego

kongresu partii hitlerowskiej w Norymberdze,

który odbył się w pierwszej połowie września... Zamykając go, kancelerz Hitler w wielkiej mowie politycznej oświadczył wyraźnie, że Trzecia Rzesza żąda prawa samostanowienia dla Niemców sudeckich, jeśli zaś to nie nastąpi, gotowa jest użyć wszelkich środków, aby je swym rodakom dać. Z tonu wypowiedzi, jak również z całego charakteru Kongresu, który odbył się pod hasłem tworzenia „wielkich Niemiec", można łatwo wyciągnąć wnioski, co do metod, jakimi Hitler miałby się posłużyć wobec Czechosłowacji. Okrzyk: „jeden naród, jedno państwo, jeden wódz" jest nicią przewodnią polityki niemieckiej i nie ma wątpliwości, że nią pozostanie. Jednocześnie zaś zarówno Hitler, jak i „dyktator gospodarczy" Rzeszy Göring w sposób wyraźniejszy, niż kiedykolwiek podkreślali, że Niemcy są już całkowicie przygotowane do wojny, nawet w takich warunkach, jakie miały miejsce w roku 1914. Twierdzili oni mianowicie, iż dzięki surowcom zastępczym, sztucznym, państwo niemieckie jest całkowicie niemal samowystarczalne, a wielkie zapasy żywności pozwolą na wstrzymanie się od ich przywozu na dłuższy nawet czas. Również militarnie — mówili obaj „wodzowie" — przygotowane są Niemcy dostatecznie, gdyż posiadają najlepsze lotnictwo na świecie, doskonale wyposażoną armię lądową i potężną fortyfikacje na zachodniej swej granicy tj. od strony Francji, które zabezpieczają ich od ewentualnego ataku sąsiada. Nie wiadomo, ile rzeczywistej prawdy było w wypowiedziach obu najwyższych dostojników Rzeszy. Można jednak wyciągnąć jeden wniosek, poparty zresztą zapewnieniami Hitlera o lojalności wobec Polski i Francji, a mianowicie, iż Niemcy czynią wszystko, ażeby zastraszyć inne państwa i przekonawszy świat, iż wojna z nimi byłaby mocno ryzykowna, móc wymusić tym łatwiej ustępstwa w sprawie Czechosłowacji.

Manewr niemiecki może o tyle mieć realne podstawy powodzenia, że Czechosłowacja została w swej polityce całkowicie niemal odosobniona.

Sprawa sudecka

bowiem nie przestaje być ośrodkiem zainteresowania nie tylko Europy ale i świata. Ma ona dwa różne oblicza. Jedno, to sprawa Niemców sudeckich i mniejszości narodowych w Czechosłowacji w ogóle. Drugie to sprawa generalnej rozgrywki państw zachodnich z Sowietami. Jedno i drugie jest oczywiście nierozerwalnie ze sobą złączone, trudno jednak wytłumaczyć sobie niesłychanie usilne zabiegi Anglii w osobie premiera Chamberlaina koło sprawy czechosłowackiej tylko troską o los Niemców sudeckich — i to właśnie sprawę tylko komplikuje.

Doszła ona już do tego stanu, iż nie tylko Anglia, ale nawet sojuszniczka Czechosłowacji Francja postawiły rządowi praskiemu ultimatum w postaci żądania przyjęcia przezeń projektu przyłączenia do Niemiec tych obszarów, które zamieszkałe są przez ludność niemiecką w liczbie ponad 50%. Przekreślony więc został nawet dawniej stawiany projekt plebiscytu.

Tymczasem Czesi (pod naciskiem Sowietów) takiej ewentualności nie chcą przyjąć do wiadomości, słusznie ze swojego punktu widzenia rozumując, iż będąc państwem niezależnym, oni tylko mają prawo decydować, co stanie się na ich terytorium. Ma to jednak, jak dotychczas, znaczenie tylko w teorii, gdyż w praktyce losy Czechosłowacji leżą w rękach raczej wielkich mocarstw, niż władz czeskich. Nawet zresztą wewnątrz państwa nie mają one już pełnej swobody działania.

Niemcy sudeccy bowiem wywołali zbrojne powstanie, gdy zaś to zostało stłumione, stworzyli ochotniczy korpus sudecki, którego zadaniem jest walka z Czechami. W razie więc zbrojnego zatargu nie będą oni pewni nawet na własnym terytorium, obsadzonym przez nielegalne wojsko niemiecko - sudeckie.

Sytuacja jest więc niezmiernie trudna, tymbardziej, iż wszyscy zdają sobie doskonale sprawę, że za Czechosłowacją stoją gotowe do wojny z Niemcami Sowiety, których interwencja mogłaby wywołać wojnę powszechną. Dotyczy to szczególnie

Polski,

która chcąc zachować neutralność między Niemcami i Sowietami i nie chcąc być wciągniętą w wojnę, stawia jednocześnie wobec Pragi stanowcze żądanie nadania Polakom za Olzą prawa pełnego samostanowienia a nawet więcej: tych samych praw, jakie będą przysługiwały innym mniejszościom na terenie Czechosłowacji.

Skomplikowana sprawa z każdym dniem przybiera co raz więcej na wyrazie, co jednak nie przechyla szali pokojowego jej załatwienia. Ultimatum Anglii i Francji skierowane do rządu czechosłowackiego, a domagające się zwrotu Sudetów Niemcom, pociągnęło za sobą w skutkach mobilizację powszechną Czech, zarządzoną przez prezydenta Benesza.

Żądanie Polaków powrotu Śląska Zaolzańskiego do Macierzy, urządzone przez nich powstanie i nota rządu polskiego w Pradze — idą po myśli haseł samostanowienia narodów. Ziemia i lud polski domagają się podobnie jak Węgry i Niemcy, powrócić do swych państw.

Trudno jest przewidzieć wypadki w chwili kiedy wyjdzie pismo spod maszyny. Rozstrzygnie rozsądek lub oręż, jak niedwuznacznie zaznaczył prezydent Stanów Zjedn. Ameryki Rousvelt.

Dzień 1 października — to data wyczekiwana przez Europę — przyniosła bezsprzecznie dużo.

St. Bol.

MŁODZIEŻ POLSKA ZA OLZĄ

Czeski Cieszyn, we wrześniu 1938 r.

W dziejowych momentach, gdy Śląsk Zaolzański zagrabiony podstępnie przez Czechów przed 20 laty, wraca do Macierzy, oczy polskiej młodzieży w kraju, kierują się ku Siostrom i Braciom uczęszczającym jeszcze do szkoły pod czeskim zaborem.

W spóźnionym o godzinę pociągu, biegnącym z Karwiny do Czeskiego Cieszyna, tłok panował wielki. Słabe latarki (był już wieczór), rzucały miłe światło na stłoczonych podróżnych. Na wszystkich prawie twarzach jadących w wagonie Czechów widniało przygnębienie i jakieś tępe odrętwienie.

Nagle gdzieś z drugiego końca wagonu doleciała mych uszu znajoma melodia. Czyżbym się mylił? Ej, chyba nie! Wszak to kilkanaście młodych głosów nuci po polsku „trojaka śląskiego"!

Po chwili siedziałem już pośród roześmianych i rozradowanych kolegów z polskiego gimnazjum. Właśnie wracali z egzaminu maturalnego (bo w Czechosłowacji terminy maturalne przypadają na drugą połowę września).

— Zdaliście wszyscy? — Zapytałem ciekawie.

— Pewno! Przecież to wstyd byłoby „oblać się" na maturze w polskiej szkole — odpowiedzieli chórem.

— A pan skąd — zainteresowali się moją osobą.

— Z Polski, dziś rano przeszedłem granicę — wyjaśniłem. Momentalnie wszystkie twarze spoważniały.

— Proszę nam opowiedzieć, co słychać za kordonem — poprosił wysoki, jasny blondyn w czarnym ubraniu. — Tylko niech Stasiek wyjrzy z przedziału, czy jakiego szpicla czeskiego nie ma w pobliżu — dodał.



Ślązaczka

Zacząłem opowiadać o tym, jak cała Polska żąda powrotu Śląska Zaolzańskiego do Macierzy, o wielkich manifestacjach w Katowicach, polskim Cieszynie i Warszawie, o entuzjamie polskiej młodzieży, pragnącej jak najszybszego połączenia się z nimi — Kolegami przedzielonymi kordonem.

Słuchali z zapartym oddechem, oczy im błyszczały. Gdym skończył, odezwał się mały, suchy brunecik: — Proszę zawieść od nas pozdrowienie braciom i siostrom w Polsce i powiedzieć także, że my Czechów mamy dość i dołożymy wszelkich sił, aby na naszym Śląsku Zaolzańskim znowu powiały biało - czerwone sztandary!

Pociąg wjeżdżał już na dworzec w Czeskim Cieszynie, więc pożegnaliśmy się mocnym uściskiem dłoni.

Nazajutrz pojechałem do Orłowej—siedziby, założonego w r. 1909 przez Towarzystwo Ludowe w Krakowie, a utrzymywanego dotąd przez Macierz Szkolną w Czechosłowacji, polskiego Gimnazjum realnego im. J. Słowackiego.

Właśnie w Orłowej jeszcze raz miałem możność przekonania się, o nastroju paniki, szerzącej się wśród Czechów, którzy pakując rzeczy na samochody, uciekali tłumnie w głąb kraju.

Nie dodawały widocznie odwagi ludności Czeskiej liczne oddziały wojskowe, ściągające nad granicę polską i betonowe schrony, wykańczane jeszcze tu i ówdzie wdłuż linii kolejowej Bogumin — Roszyce.

W gimnazjum wpadłem odrazu w wir beztroskiego życia sztubackiego, jako, że trafiłem na pauzę. 666 uczenic i uczniów (gimnazjum jest koedykacyjne) wyległo na korytarze, dyskutując z ożywieniem, lub przechadzając się po szerokich korytarzach.

Jak mnie poinformował czcigodny dyrektor gimnazjum, olbrzymi gmach gimnazjalny, rozbudowywany już trzykrotnie, nie może pomieścić rzesz polskiej młodzieży. Powyższy fakt świadczy najlepiej o polskości Śląska Zaolzańskiego. Dodać należy, że setki młodzieży mieszkającej w samym Czeskim Cieszynie, uczęszcza do polskich gimnazjów państwowych w Cieszynie. Ta właśnie młodzież znalazła się obecnie w krytycznym położeniu, bowiem Czesi zamknęli nagle granicę i... odcięli polskie dzieci przebywające w tym czasie w szkołach — od rodzin!

Ale wróćmy do gimnazjum w Orłowej. Miałem możność podziwiania pięknych laboratoriów chemicznych, muzeów przyrodniczych i sal gimnastycznych, z których korzysta nasza młodzież. Oczywiście wszystko powstało za pieniądze Polaków z za Olzy. Czesi robili co mogli, by pognębić ośrodek kultury polskiej i nie dopuścić do jego rozwoju. Daremnie jednak! Polskie społeczeństwo rozumiało znaczenie własnej placówki kulturalnej i własną ofiarnością doprowadziło do znakomitego rozkwitu gimnazjum w Orłowej.

A jeżeli w niedługim już czasie z klas i korytarzy gimnazjum orłowskiego znikną portrety czeskich dostojników — będzie to niewątpliwie dużą zasługą polskiej młodzieży za Olzą.

J. W.



Gimnazjum w Orłowej



Krajobraz Śląska



Szybownictwo w Polsce przygotowuje młodych adeptów kunsztu lotniczego do trudnej i wyczerpującej pracy w powietrzu. Na całość latania składają się trzy zasadnicze czynniki: pilot, sprzęt techniczny i atmosfera. Każdy z tych trzech czynników, posiada b. ważne znaczenie, ale decydującym dla ogólnego postępu był i pozostanie zawsze pilot.

Dlatego też wszyscy kandydaci na kurs szybowcowy są poddawani specjalnie skrupulatnym badaniom lekarskim, w jedynym w Polsce Instytucie Badań Lekarskich Lotnictwa w Warszawie. Kandydat przechodzi tam kolejno działy: chirurgiczny, psychotechniczny, okulistyczny, wewnętrzny i neurologiczny, na których to działach specjalnie w tym celu wykwalifikowani lekarze, sprawdzają zdolności kandydata do służby w lotnictwie. Parę lat temu i ja znalazłem się wśród kandydatów na pilotów szybowcowych.

Po pewnym czasie po badaniu dostałem się do Ustianowej, do piątej — o ile pomnę — grupy u pp. instr. Kalisza i Wałukiewicza.

„Ustianowa — miejscowość nie bardzo podła, znajduje się na południe od Przemyśla. Nad Ustianową wznosi się potężny szczyt Żuków, na którym to szczycie rozpocząłem swoje pierwsze kroki w powietrzu.

Na drugi dzień po przyjeździe, szumna zapowiedź: loty!

Zaczęło się od „szubienicy". Instruktorzy kiwali maszyną, a ty junaku ruszaj tak drążkiem sterowym żeby było dobrze. Chcesz wdół — oddal drążek, chcesz w górę — lekko ściągnij itd.

Po szubienicy przyszła kolej na tzw. „skoki", tj. małe lociki, trwające zaledwie parę sekund, a mające na celu oswojenie ucznia z powietrzem.

Nareszcie po oswojeniu się już zupełnym, powędrowaliśmy na sam szczyt niebosiężnego Żukowa.

Więc najpierw poszukiwania za kandydatem na piewszy lot pokazowy.

Oczywiście, wybrali mnie, („on taki mały, że jak spadnie to dziury w ziemi nie będzie" — mówili). Pocieszony tymi słowami siadłem na „Wronę", pokrywając głupkowatym uśmiechem rosnącą tremę.

Padają sakramentalne, nieodzowne pytania i rozkazy instruktora:



„Pilot gotowy?" „Ogon gotowy?" „Liny gotowe?" „Naciągaaaaj!" „Biegieeeem!"

„Puść!" szybkie jak wystrzał usłyszałem i szybowiec, najpierw trąc chwilę płozą po ziemi, łagodnie wypłynął w powietrze.

Szybowiec podbijany silnymi podmuchami wiatru wzniósł się wysoko ponad start.

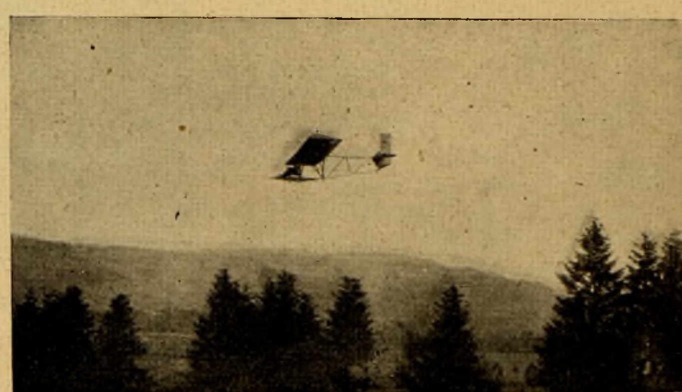
Zobaczyłem przepięknie rozwinięty krajobraz, wśród którego duży las wydawał się jak maleńkie zgrupowanie krzaków. Szum skrzydeł był dla mnie w tym locie najpiękniejszą i najwznioślejszą muzyką. Powoli, starając się nie pikować, ale i nie tracić zawiele szybkości — co groziłoby korkociągiem — spłynąłem już poniżej startu i zacząłem zastanawiać się nad podejściem do lądowania.

Zrobiłem więc skręt w kierunku lądowiska, gdzie też po paru sekundach siedziałem mięciutko na błotnistej łące.

„Szkoda, że tak krótko" — było pierwszą myślą po wylądowaniu.

Władowałem „Wronę" na wózek i prowadząc za skrzydło, dopiąłem szczytu góry.

Od razu cała chmara kolegów rzuciła się do mnie, aby przemiłymi „kopniakami" ochrzcić „zdobywcę przestrzeni", Tymczasem na szybowcu siedział już nowy kandydat na królika doświadczalnego, Lwowianin Janusz P.



Po chwili i on płynął w powietrzu, ale z przyczyn bliżej niezbadanych nosiło go za bardzo. Przeleciał ponad lądowiskiem, następnie nad kopami siana, które poważnie zagrażały dalszemu lotowi, potem przesmyknął się tuż nad płotem z drutu kolczastego, siadając wreszcie w burakach.

Równocześnie z jego wylądowaniem, przybiegł do naszego instruktora chłopak z karteczką. Otóż okazało się, że instruktor, który przypadkowo znajdował się na linii lotu pana Janusza P. napisał meldunek tej treści:

„Janusz P...ski, cały czas lotu śpiewał tango: „Na pół godziny". Zawieś go w lotach nie na pół godziny, ale na pół dnia". I biedny Janusz przez pół dnia musiał obserwować loty innych kolegów, a sam naciągał liny, lub siedział trzymając ogon szybowca.

Dużo jeszcze możnaby pisać wesołych rzeczy o tym, jak to było ongiś..., ale kto jest ciekaw, niech czym prędzej jedzie do Ustianowej, czego — jako stary, z mnóstwem wylatanych godzin pilot — życzę mu z całego serca.

K. J. Kraków - Liceum



Kogo miał na myśli Adam Mickiewicz, konstruując symboliczne dziś liczby 44 zupełnie nie wiadomo. Wiadomo jest jednak, jak mi się wydaje, kogo by nią oznaczył, gdyby żył w czasach dzisiejszych, w czasach techniki i tempa.

Gdy przenikniemy metody zdobywania dzisiejszych dusz, gdy zrozumiemy technikę działań politycznych zobaczymy jak wielką w nich rolę odgrywa ten czynnik, który nazywamy prasą codzienną.

Biografia wielkich ludzi, którzy kierowali lub kierują życiem swych państw wskazuje wyraźnie, jakimi drogami wielcy mężowie stanu docierali do społeczeństwa. Zarówno Józef Piłsudski, drukując i redagując „Robotnika", jak Mussolini czy Lenin zrozumieli dokładnie, jak potężną bronią włada człowiek, który ma dostęp do łamów dziennika. I dlatego każdy z nich był dziennikarzem w okresie podbijania serc swych współobywateli. Przypatrując się smutnym nieraz kolejom, jakim podlega stara, „wczorajsza" gazeta, możemy doznać uczucia żalu, jeśli pomyślimy o tych wszystkich wysiłkach, jakie składają się na powstanie „numeru" dziennika. Wydać się nam może, że przykry jest los dziennikarza, który dzieckiem swym, artykułem, cieszyć się może jeden tylko dzień.

Nasze żale i współczucie okażą się jednak próżnymi, jeśli uprzytomnimy sobie, jaką rekompensatą moralną otrzymuje publicysta dziennikarski za swą pracę i troskliwość, jaką otacza swe efemeryczne dziecię. Bo owa jednodniowa jędka nie odpłaca się bynajmniej niewdzięcznością swemu rodzicielowi. Jeśli dziennikarz ma tęgi umysł i niezgorszą łatwość przelewania słowa na papier, to artykuł jego potrafi zdziałać przez jeden dzień swego życia więcej, niżby się mogło wydawać. Kilkadziesiąt, albo nawet kilkaset tysięcy par oczu codziennie przebiega po szpaltach gazety, przenosi ich treść z papieru do wszystkich serc i mózgów.

Ten fakt znaczy bardzo wiele.

Bo dzięki niemu dziennikarz ma możność poruszać duchowymi strunami wielotysięcznej masy obywateli. Nie dobywając z nich ani jednego słowa, może powiedzić znacznie więcej niż jakikolwiek wyczerpany od krzyku mówca i dotrzeć myślami swymi do tak wielkiej ilości ludzi, jakiej nie może pomieścić żadna sala wiecowa.

Jest więc zatym dziennikarz tym mężem opatrznościowym, który prowadzi naród, ale nie zawsze... do chwały.

I w tym tkwi sedno zagadnienia dziennikarskiego.

Ludzie wypełniają szpalty gazet codziennych swoimi poglądami, informacjami z najrozmaitszych dziedzin dnia codziennego; wywierając wpływ na umysły tak wielkiej masy winni posiadać szereg wysokich kwalifikacji, bez których możność tak szerokiego kontaktowania się z czytelnikami, staje się w ich rękach bronią bardzo niebezpieczną dla całej zainteresowanej społeczności.

Dlatego do dziennikarstwa winni być dopuszczeni jedynie ci, którzy posiadają nie tylko gładki styl i dużą wyobraźnię. Wymagania jakie społeczeństwo winno im stawić muszą iść przedewszystkim po linii wymogów moralnych. Nieskazitelny charakter, umiłowanie prawdy, jak najdalej posunięty obiektywizm: oto warunki, jakie w pierwszym rzędzie spełnia każdy dziennikarz. Warunki te nabierają właściwego im, wielkiego znaczenia w zestawieniu z istniejącą w wielu państwach, a także i w Polsce, „wolnością słowa". Swoboda ujawniania na łamach prasowych najrozmaitszych myśli i przekonań wymaga od piszących dużego poczucia odpowiedzialności za wszystkie swe wystąpienia, enuncjacje, a nawet notatki informacyjne.

W przeciwnym bowiem razie w społeczeństwie, które karmi się wiadomościami nieścisłymi, lub wręcz fałszywymi powstać może zamęt, będący najczęstszym źródłem upadku politycznego.

Poza wymienionymi właściwościami, a więc dużą łatwością słowa i wysokimi przymiotami etycznymi, dziennikarz powinien być człowiekiem o rozległej wiedzy i szerokich zainteresowaniach. Pisze przecież o wszelkich zagadnieniach, jakie mogą czytelnika zainteresować. A zdajmy sobie sprawę, że skala tych zainteresowań jest naprawdę wielka. Człowiek, poza tym, który się zawodowo trudni dziennikarstwem, winien przystąpić do tego zawodu z dużym zapasem wiedzy obejmującym najrozmaitsze dziedziny. Dopiero taka jednostka, która spełniać będzie te główne wymienione warunki winna, moim zdaniem, uzyskać prawo pisania w dzienniku.

P. Pien.

Z „WYWIADEM" U TESSY

Po prostu prześladował mnie pech. Ile razy dzwoniłam do drzwi mieszkania Tessy, nigdy nie mogłam jej zastać. To na zebraniu, to na próbie, to na jakiejś „pracy" lub korespondencji. Słowem, wszędzie jej pełno, tylko nie w domu! Nie dziwiło mnie to — przyznam się — zupełnie, gdyż Tessę znam bardzo dobrze i wiem, że jest to natura niezwykle żywotna, na miejscu usiedzieć nie mogąca. Zastanawiała mnie tylko, skąd ta dziewczyna miała czas na te wszystkie sprawy, gdy matura wisiała nad jej głową jak miecz Damoklesa?

Ogarnęła mnie ciekawość i urządziłam istną obławę; wreszcie. — złapałam ją. Siedziała w szkole z grupą jedenastu dziewcząt. Wszystkie z niezmiernym zapałem kleiły obrazki. Zagadnęłam ją z miejsca, co to za „czcigodne" zgromadzenie. Tessa odpowiedziała mi trochę niechętnie; ot, tak sobie pracujemy. Ale moja ciekawość nie została zaspokojona— zasypałam Tessę taką ilością słów, że w końcu dała się przekonać.

— Jest nas jak widzisz — dwanaście. Stanowimy zespół doskonale zorganizowany, zespolony wspólną pracą. Nosimy nazwę „Płomieńczyków".

— „Płomieńczyki"? Cóż to takiego?

— Związek. — Za cel obrałyśmy sobie: dopomagać w miarę sił, wsi kresowej na Wileńszczyźnie—Ogrodniki. Posyłamy tam książki, obrazy, albumy miast polskich, na święta Boże-

go Narodzenia posłałyśmy paczkę z ozdobami choinkowymi i słodycze — na wielkanoc zaś prowiant dla najbiedniejszej rodziny Ogrodnickiej. Muszę Ci nadmienić, że ludność Ogrodnik to po części Polacy, po części Rusini. — Może przez te dzieci, dla których wysyłamy te wszystkie rzeczy, trafimy do serc ich rodziców — może poczują się naprawdę Polakami, może oprą się agitatorom komunistycznym, bo będą się czuli związani z Polską! — Teraz...

— Chwileczkę. Skąd bierzecie fundusze? — przecież paczki i ich zawartość musi was dużo kosztować!

— No, tak. Poczta jest bardzo droga. My sobie dajemy radę w ten sposób: ja np. chodowałam kaktusy — sprzedałam je potem, oczywiście z uwzględnieniem, na co pieniądze pójdą. — Pozatem Wanda wykonuje śliczne serwetki. Na św. Mikołaja dość dużo tego poszło. Resztę—nasze oszczędności.— Książki zebrałyśmy wśród koleżanek — prowiant wśród rodziny — słodycze — tych odmówiłyśmy sobie przez pewien czas.

— Tak. — Ale przerwałam ci przedtem. Co robicie obecnie?

— Jak widisz. — Obrazki. Przyznasz chyba, że są pomysłowe? — Typy i obyczaje ludowe Stryjeńskiej, oraz „Cuda Polskiej natury" — Jak ci się podobaję?

— Bardzo!

Po chwili zadałam znowu pytanie:

— Czy wasza praca skończy się z rokiem szkolnym?

— Ależ naturalnie że nie! — Wprawdzie jestem już na odlocie, ale one będą pracowały, ja z nimi, choć z poza murów szkoły.

— Naprawdę — wspaniale. Powiedz mi tylko jeszcze jedno: skąd przyszedł wam do głowy ten pomysł?

„Płomieńczyki"? — Poprostu mamy dużo dobrych chęci, dobrej woli i siły. No i co najważniejsze — zapału do pracy. Poza Dyrekcją Zakładu i częściowo gronem profesorskim, nie wiele osób wie, że istniejemy. — Jest nam bardzo, bardzo dobrze ze sobą — praca nas jednoczy, zespala duchowo.

— Romantyczno!

Tessa się śmieje—jest zadowolona ze siebie i ze swej małej gromadki.—Wybija 18-ta. Budynek należy opuścić. Dziewczęta zbierają swoją robotę i rozchodzą się do domów, żegnając się serdecznie. — Mówię im, że napiszę o nich do „Młodego Nurtu. Proszą, żeby nie, ale ja stawiam na swoim.

Ściskam rękę Tessy i obiecuję, że wpadnę znów na kilka chwil, aby odetchnąć ich atmosferą. Otrzymuję serdeczne zaproszenie.

— Przyjdź! — bardzo proszę! Chociaż na kilka chwil. Teraz uciekam, bo jeszcze mam korepetycje.

Nawotarska Róża

POMNIK LOTNIKA

Powiedz, wsparty o śmigło, czy w swojej zadumie
Widzieć chciałeś obłoki rzucone do stóp
Czy zaciasno Ci było w szarym, ziemskim tłumie,
Że szukałeś wielkości — i znalazłeś grób!
Niezwalczona tęsknota w przestworza Cię gnała,
Jakaś siła nieznana dźwignąć chciała wzwyż!
Ale z życia krótkiego tylko pozostała
Wielkość niezapomniana — i **brzozowy krzyż...**

Bogusław Kudela.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI: „ŚLĄSK ZA OLZĄ"

W szkole—w ostatniej klasie—kiedy to w przedmaturalnym poszukiwaniu syntetycznego ujęcia dzieliło się historię na „sprawy", była i sprawa Śląska. Trudna. Kto go tam kolejno tracił, zdobywał, odstępował, dzielił. Dużo tego było. Ziemia graniczna, bogata, przechodziła z jednego panowania pod drugie. Zmieniali się władcy — ludu nikt w owych czasach o jego przynależność narodową nie pytał.

Nie pytano zresztą i później mimo uznanej już zasady samostanowienia narodów o sobie. Zostali po tamtej stronie. Za Olzą. Liczby mówią (przytaczam dane z książki Hulki-Laskowskiego). Spis austriacki 1910 r.: Polacy 138.317, Czesi 113,308. Spis czechosłowacki z 1930 r.: Polacy 76.230, Czesi 237.886. Książka omawiana — to wrażenia autora z wędrówki po Zaolziu. Przedstawia losy tych 140 tysięcy, którzy zostali po tamtej stronie. Ukazuje ziemię i ludzi.

Ziemia ma dwa oblicza: jedno, to świat stworzony przez kopalnię. Czarny dym kominów, czarny pył węglowy.

Drugie — to cicha, górska wieś śląska. Lasy ciemne na zboczach gór, doliny zielone i kwitnące. Pola wysoko na zboczu, biedne, gliniaste, kamieniste.

Nie znam Śląska hut i kopalń, ale znam urok takiej górskiej, uśmiechniętej wsi śląskiej — jej cichy spokój, dźwięczny szept strumieni sączących się z mokrego, cienistego zbocza; te łączą się w dolinie w bystro płynącą, rozbijającą się białą pianą na kamieniach, smaragdową w głębszych kamiennych rzeczkach — Olzę. To właśnie Olza, za którą zostali, opisywani przez autora Polacy.



Defilada Polek

Dlatego miło jest znany czar odnaleźć w książce. A także czar znanej gwary, stroju, pieśni.
Ale przede wszystkim widać w książce ludzi. Jak nacisk ekonomiczny (groźba utraty pracy!) zmusza ich do posyłania dzieci do obcej szkoły. Jak budują własne szkoły Macierzy, jak tworzą własne, polskie spółdzielnie. Mocni ludzie. Spośród nich to wyszedł **Jerzy Lanc** — **nauczyciel**, co zginął za sprawę polską na Mazurach, z którego bohaterstwem zapoznała szerokie masy czytelników książka Wańkowicza: „Na tropach Smętka". Obydwie te książki mają wiele wspólnego. Obydwie malują dolę Polaków na kordonem, dolę, mimo pozornych różnic, podobną. Obydwie obalają fałszywe i krzywdzące mity, zbierając świadectwa polskości ziemi i ludzi.

I jeszcze jedna cecha wspólna: choć obydwie mówią o pewnej i niewątpliwej krzywdzie — nie noszą jednak piętna nienawiści. Wańkowicz pisał we wstępie: „(Niemcy) nie znajdą tu nienawiści Znajdą miłość dla własnego narodu, który utracił duszę". Hulka Laskowski pisze: „Nie kierowałem się złymi uczuciami nieżyczliwości, a tym mniej nienawiści".

To może jedna z największych wartości książki.

I czytając książkę nie myśli się o odwecie i zemście. Natomiast trzeba myśleć o porozumieniu. Autor — a z nim i czytelnik nie wątpi, że mimo wszystko porozumienie jest możliwe.

Wanda Wysznacka

W TATARSKIM SIOLE

Będąc podczas wakacji na Wileńszczyźnie, miałem możność zwiedzenia wsi tatarskiej. Miejscowość ta nazywa się Doubuciszki. Leży ona 10 km od stacji kolejowej Zalesie, gdzie spędzałem lato. Wiele słyszałem o tej wiosce. Nareszcie zdecydowałem się tam pojechać. Wszyscy mi odradzali, mówili że zła droga, że nie warto, że tam nic nie ma. Jednak pojechałem.

Wspaniałe lasy, rozległe pola, bagna i maleńkie tu i ówdzie wioski składają się na uroczy krajobraz.

Zdala widać kępę drzew. To Doubuciszki. Przejeżdżam koło jakiegoś dworu. To własność Tatarów. Z ogrodu wychodzi człowiek, pewnie Tatar. Pan do nas — pyta. Tak — odpowiadam — przyjechałem zwiedzić wasze osiedle. Obiecuje mi pokazać całą wioskę. Na wstępie dają się zauważyć setki wron, przeraźliwie kraczących. Wrony to ulubione ptaki Tatarów. Mój towarzysz, choć nie ma skośnych oczu, przedstawia wschodni typ człowieka.

Tak, wygląda na Tatara. Mówi śpiewnym akcentem wileńskim i ubrany jest po chłopsku.

Z za drzew widać meczet, maleńki meczecik. Wygląda raczej na miniaturę. Jest zbudowany z drzewa, kopuły ma pokryte gontem. Z boku jest wieżyczka moezina. Właśnie nadchodzi moezin z bratem. Witamy się. Zaczynamy zwiedzać meczet, starą masywną budowlę. Po bokach krużganki podparte na kolumnach. Drzwi do meczetu są ciężkie, przypominają furty do zamków obronnych. Meczet składa się z dwóch części. Pierwszej dla mężczyzn, drugiej dla kobiet. Wewnątrz jest prawie pusto. Nie ma tam obrazów, posągów, na ścianach widać tylko napisy, są to wyjątki z koranu. W pierwszej części meczetu jest rodzaj ambony, a pod ścianami ławy dla kalek. Zdrowi siedzą na ziemi, na dywanikach. W ścianie głównej jest wnęka, w której stoi lichtarz ze świecą. Świeca ta pali się w dni wielkiego święta. Moezin pokazuje mi koran. Ta święta księga zawiera modlitwy, pisane dziwnymi znakami. Część druga jest pusta. Od części mężczyzn oddziela ją ściana z desek. Na wys. około 2 m znajduje się szeroka szpara, aby można wszystko słyszeć, a nie widzieć.

Wychodzimy zobaczyć cmentarz. Niektóre płyty na grobach poczerniały już ze starości. Napisy są w języku arabskim i polskim, zdarza się także język rosyjski. Leżą tu oficerowie polscy z 1812 roku, kilku wyższych oficerów rosyjskich. Wszyscy byli Tatarami. Moi przewodnicy objaśniają mnie, że wielu Tatarów zajmuje poważne stanowiska w kraju. Wielu z nich jest oficerami armii polskiej.





Zaczynamy rozmowę. Pytam ich o język. Niestety zaginął — brzmi odpowiedź. Wielu z nich to szlachta. Tatarzy są to ludzie honoru. Są dobrymi obywatelami Rzeczypospolitej. Podczas wojny istniał nawet pułk Tatarów, walczących po polskiej stronie. Pułk ten na froncie dzielnie się spisywał. Są oni szalenie mili i gościnni. To ludzie prości i serdeczni. Są religijni. Wierzą w swego Ałłachę i jego proroka Mahometa. Wkrótce rozmowa schodzi na temat gospodarki. Dowiaduję się, że posiadają oni duże gospodarstwa. Na Wileńszczyźnie jest ich kilkanaście osad.

Lecz ja już muszę wracać. Odprowadzają mnie wszyscy trzej Tatarzy. Obdarowują jabłkami i życzą wszystkiego najlepszego. „Poczciwe ludzie". Jestem zadowolony. Poznałem nowych ludzi, nową religię. Poznałem tych, którzy przed wiekami byli naszymi wrogami, a dziś są przyjaciółmi. Wracam do domu. Przyjęcie w tatarskim siole pamiętać będę długo.

Janusz Kulczycki

Łódź, Państw. gimn. im. I Prezd. R.P. Narutowicza



(Z obozu harcerek śląskich).

Ogniska hacerskie zbliżają ludzi. Frazes zdawałoby się oklepany. — A jednak...

Północna granica Rzeczypospolitej - Kurpie. Piękna okolica, wymarzona wprost do obozowania. Potrafiły to ocenić harcerki ze Śląska, bo oto dwa duże miasta: Chorzów i Katowice są reprezentowane przez żeńskie zespoły harcerskie.

Ognisko harcerek gorze wielką łuną o 2 klm. od granicy pruskiej. Obóz leży nad rzeczką Pissą:—toczy ona swe wody już z poza granicy pruskiej. — Pissą powracał z Prus Melchior Wańkowicz, by napisać piękną, przez Niemców znienawidzoną książkę: „Na tropach Smętka". I tak, jak autor tej książki odsłonił czytelnikom prawdziwą oblicze teutońskie, tak harcerki śląskie opowiedziały zebranym przy ognisku kilka słów prawdy o naszym zachodnim sąsiedzie. A przecież one dobrze znają Niemców, boć ciągle się z nimi stykają na gorącym śląskim terenie, zwalczając ich jawną i ukrytą propogandę.

Zdziwili się licznie zebrani przy ognisku goście, że te młode, o niemieckich często imionach harcerki, potrafic

tak gorąco myśleć i mówić po polsku. Rosły serca na widok rdzennie polskich, ślicznych śląskich strojów, których zapobiegliwe harcerki nie zapomniały przywieść i pokazać zebranym.

— I płomienie z ogniska harcerek śląskich stały się symbolem braterstwa, symbolem wiążącym dwa ludy polskie — Ślązaków i Kurpiów: — tańce i śpiewy dowiodły, że mimo bliskości potężnego, wrogiego mocarstwa i Ślązacy i Kurpie myślą i czują po polsku. W ciszy wieczornej rozgłośnym echem płynęły pieśni, rwały pod prąd rzeczki Pissy, mijały pobliską granicę, by hymnem wytrwania i zwycięstwa przypaść pod strzechy nie zupełnie jeszcze zniemczonej ludności, po tamtej stronie granicy. Blask płonącego ogniska, zdala widoczny, rozjaśnił może głębie serc rodaków z za kordonu, bo to nie tak dawno „prawnym" plebiscytem ziemie polskie odeszły od Macierzy.

Przy dogasającym ognisku stanął zwarty łańcuch ludzi. Bratnie harcerskie koło skuło poczuciem jedności i siły różne ogniwa: harcerki i chłopi, harcerze i dzieci, goście i gospodarze, stoją ramię przy ramieniu. Tlące się głownie dogasającego ogniska rzucają migotliwe blaski na skupione twarze i rozchylone śpiewem usta:

„Wszystko, co nasze, Polsce oddamy..."

I jeden pobyt harcerek śląskich więcej zrobił dla rozbudzenia uczuć patriotycznych ludu kurpiowskiego, niż dziesiątki propagandowych, radiowych audycji, niż wspaniałe obchody rocznic narodowych po miastach. Harcerki z Chorzowa i Katowic zebrały piękny plon — wdzięczność i pamięć Kurpiów. Gdy po kilku tygodniach pobytu wracały na Śląsk, ludność miejscowa żegnała ich na prawdę z żalem. Ognisk wspólnych było zaledwie kilka; — ale dokonały one wielkiego dzieła, zbliżyły ludzi. I nie to jest ważne, że dzieci we wsi śpiewały harcerskie piosenki z ognisk, lecz że te wspólne ogniska nauczyły zebranych uczyć i myśleć jednako — po polsku.

Drużyny harcerek Chorzowa i Katowic wzbogaciły swe zbiory obozowe jeszcze jednym cennym nabytkiem — wdzięcznością ludzi z odległych kresów kraju.

A głownie zabrane z pożegnalnego ogniska przypominać im będą dni obozowe na Kurpiach.

J. Żdziarski



Jesteśmy w Samach nad brzegiem Słuczy. Rozpoczynamy dwutygodniową włóczęgę po wodach Polesia. Jest nas sześcioro; kompania dotychczas nie zgrana, ale mająca wszelkie warunki dobrego współżycia. Kajaki też nie wszystkie znane. A wiadomo, że osobowość kajaka na włóczędze to może równie ważna rzecz, jak dobór załogi. Tak wiele zależy od tego, jaki jest sprzęt. Nasz przedstawia się nieźle: trzy dyktowe kajaki, z tego jeden duży, pakowny, ale nieznany i dwa inne, starzy przyjaciele z poprzednich wędrówek, mający za sobą ponad 1000 kilometrów wspólnej włóczęgi.

Teraz właśnie zajechała nad brzeg furka z kajakami. Spuszczamy je więc na rzekę i sprawdzamy. Tak przyjemnie jest postawić kajak na wodę. Z martwego, długiego pudła, trzęsącego się bezradnie na wybojach bocznej drogi, staje się nagle, dotknąwszy wody, istotą znaną i żywą. Nabiera barwy i charakteru. Przypomina dawne przygody i czeka na nowe.

Jaka przygoda kryje się za tym zakrętem? Co czeka za każdym następnym?

— — — — — — — —

Kajaki obładowane, zanurzone głęboko, stoją gotowe do drogi. Pierwsze wołanie: „Do wsiadania" — i ruszamy.

— — — — — — — —

Wiele przeżyliśmy w pierwszych, pracowitych dniach, spędzonych na wodzie.

I oto nadszedł siódmy dzień wycieczki — jeden z najdłuższych ale i najpiękniejszych etapów: Jasiołda. Za nami już Dun, Horyń i Prypeć do Pińska. Poznaliśmy tego dnia „nowe" Polesie. Bezkresne, zielone równiny okolic Pińska ustąpiły miejsca wysokim trzcinom, podobnym z dala do lasu. Rzeka płynęła leniwie, dzieliła się, tworząc zalewiska, porośnięte liliami i strzałką wodną — wiosła zaplątywały się często w wodorosty. Zieleń trzcin, odkreślona od nieba bronzową linią kit, ujęta była od dołu w barwną ramę wysokich, fiołkowych kwiatów, nigdzie indziej nie widzianych i nie znanych mi bliżej. Było spokojnie, słonecznie i cicho. Płynęliśmy w milczeniu, wolno, bo w górę rzeki. Prąd, choć słaby, utrudniał nieco pracę. Kilka razy minęły nas łodzie Poleszuków, płynących na targ do Pińska. Na łodziach przewożą wszystko — żywność, sprzęt, krowy, konie, wozy. Poleszuk wybiera się w drogę zawsze z wozem i łodzią. Raz wóz jedzie na łodzi, drugi raz łódź na wozie — zależnie od potrzeby. Zbliżała się pora obiadu, głód zaczynał dokuczać. Trudno jednak biwakować w trzcinach. Przepłynęliśmy jeszcze kawałek i — o radości! trzciny zrzedły, zmalały i „wziąwszy rozpęd" można było przybić. Skacząc po wysokich kępach ostrej trawy, dobrnęliśmy szczęśliwie do rosnącego opodal, samotnego drzewa i rozgościli w jego cieniu.



Ten poleski dzień miał bardzo „stylowe" zakończenie: zawarliśmy na wieczornym biwaku bliższą znajomość z autentycznymi, poleskimi komarami. Te komary nie gryzą — one „jedzą", mało — „pożerają"! Wszystko dobrze, póki jest ognisko i dym, ale później! Dostają się do szczelnie zapiętego namiotu niewiadomo kiedy i jak, a ich jednostrojne brzęczenie nie jest bynajmniej najsłodszą kołysanką do snu. To też do późna w nocy toczyliśmy z nimi zajadłą walkę, a gdy nazajutrz otworzyliśmy oczy, dach namiotu był czarny od sytych i sennych po nocnej uczcie komarów. A my — pożal się Boże...

— — — — — — — —

Wiosła pluskają miarowo, pewnie. Długie, wykończone pociągnięcia, zgranie załóg,

zdradzają długi już pobyt na wodzie. Tak — zbliża się właśnie ostatni nocleg. Dziś rano wpłynęliśmy na Niemen pozostawiwszy za sobą Kanał Ogińskiego. Musimy dojechać jak najdalej, żeby jutro zdążyć dość wcześnie do Grodna.



Nazajutrz wstajemy o piątej, by naprawić dziurawy kajak. Pogoda chmurna, humory kwaśne. Chciałoby się spać, choćby do dziesiątej. Ale depresja prędko mija. Sprawdzenie kajaka, śniadanie, odjazd — i znowu wszystko dobrze. Tylko w pamięci zostaje obraz nocnej katastrofy, którą przeżyliśmy: nowa nauka na przyszłość: nie należy pod żadnym pozorem rozdzielać się na odległości większej, niż 1—2 km i trzeba mieć na każdy tydzień projektowanej wycieczki jeden dzień „zapasu", żeby — w razie jakiegoś przypadku nie było potrzeby niedosypiania i całodziennego, forsownego wiosłowania.

— — — — — — — — — —

Ostatnie kilometry Niemna mijamy nadspodziewanie szybko. Nic dziwnego — przejeżdżamy niemeńskie „bystrza". Rzeka zwęża się, prąd staje się bardzo szybki, fala duża — i oto zakręt, który dopiero co widzieliśmy przed sobą, zostaje za nami. Przyjemność ogromna, trzeba tylko uważać, aby nie „potknąć się" o jakiś głaz podwodny. Ale poziom wody dosyć wysoki, jedziemy więc śmiało. Jeszcze jeden zakręt, jeszcze jedno bystre — i oto Grodno, koniec naszej wędrówki. Trzeba przybić do przystani, trzeba „wyprowadzić się z mieszkania" w kajaku, pozbierać wszystkie drobiazgi, które miały już może stałe, wymarzenie miejsce. Kajaki stoją już puste.

Na pomoście przystani leżą mocno sfatygowane plecaki, tornistry, buty, zeschnięte od ciągłych, przymusowych kąpieli. Kajaki też się postarzały — jednemu przybyły trzy pokaźne łaty, drugi stracił swoją nieskazitelną białość. Patrzymy na nie, jak na dobrych przyjaciół — znamy teraz nawylot wszystkie ich obyczaje. Ale „starość nie radość"; na przyszły rok czeka je emerytura, a nas — daj Boże! nowa wyprawa.

S. Werner.

DESZCZ

Chlupocze deszcz miarowym stukotem o szyby,
mokną dachy kamienic i smutek się sączy —
i nic więcej nie widać poza wodą chyba,
co jezdnią spływa ciągle — niby potok rwący.

W takie dnie lubię patrzeć przez wilgotne okno,
kiedy siedzę sam w cieple i nic mi nie grozi —
a za szybą tak jakoś smutno jest — i mokro
i tylko parę osób pośród kałuż brodzi.

Wtedy to pewnie czuję swą moc i potęgę,
więc chociaż dusza w melancholii broczy —
to jednak już losowi swemu nie urągam,
bo wiem, że mogę znowu mieć wesołe oczy.

Jerzy Krzeczowski



My, młodzież szkolna, która na każdą sztukę czeka z utęsknieniem, mamy wśród artystów swoje sympatie i antypatie.—Artyści zdobywają sobie młodzież dzięki rolom, jakie otrzymują — oświadczył mi ktoś. Ja jednak kategorycznie temu zaprzeczam. Niektóre z pośród artystów lekceważą nas na przedstawieniach naszych — grają jak się to u nas mówi „po łebkach", gdy tymczasem nas to oburza, bo chcemy być traktowani jak ludzie dorośli. Mamy do tego najzupełniejsze prawo. Przecież z nas wyrasta przyszła publiczność i my, a nikt inny będziemy decydować o powodzeniu sztuk i popularności grających.

Jakie sztuki najbardziej nam odpowiedają? Jeżeli sięgnę pamięcią wstecz, to przypominam sobie, że w czasie gdy Dyrektorem teatru Krakowskiego był Juliusz Osterwa, twórca teatrów szkolnych — istniała skrzynka, do której wrzucaliśmy karteczki z uwagami, życzeniami itp. Przeważna część tych karteczek zawierała oświadczenie, że wolimy dramaty aniżeli komedie. My chcemy, aby teatr dawał nam coś więcej, prócz możności serdecznego wyśmiania się. My lubimy doszukiwać się sedna, sensu, lubimy dyskutować na temat zagadnienia w sztuce poruszonego. Dlatego spośród repertuaru dla młodzieży w teatrze Krakowskim, najbardziej podo-

bały się sztuki takie, jak: „Kajus Cezar Kaligulla" — K. H. Rostworowskiego, „Most" — Szaniowskiego, „Niebieski Ptak" Meaterlincka, „Bolesław Śmiały" itd.

No, ale odbiegłam od właściwego tematu, gdyż miałam pisać o Teresie Sucheckiej. Widzieliśmy ją zaledwie w kilku sztukach dla młodzieży — a szkoda. Wielka ta artystka, o ślicznym, głębokim, melodyjnym głosie, czarowała nas — i co ważniejsze — rozumiała. Przeżywała wspaniale na scenie swoją rolę, zmuszała nas do przeżycia tego samego na widowni. Śmialiśmy się i płakaliśmy razem z nią. — Jej radość była naszą radością — a jej wyrządzona przykrość, i nam ból czyniła. Każda rola w jej wykonaniu, to nie tylko słowa włożone w usta postaci stworzonej przez aktora, ale to żywy człowiek. Widzieliśmy ją w takich rolach, jak: Krasawicy w „Bolesławie Śmiałym" — Caesonii w „Kaligulla", Jewdochy w „Sędziach" i w końcu Sławy w „Gałązce Rozmarynu"—Trudno byłoby osądzić w której roli była bardziej doskonałą!

To też nikogo nie dziwi, że do mieszkania artystki posyłamy kwiaty, że po każdej z nią sztuce tłumnie wyczekujemy pod drzwiami teatru wypatrując, czy nie ukaże się wysoka, smukła sylwetka Teresy Sucheckiej. Złożymy jej ukłon i daleka i odbierzemy wzamian miły, piękny uśmiech. — Szkoda tylko i krakowska młodzież szkolna szczerze tym jest zmartwiona, że najbardziej lubianą i bezwątpienia najlepszą artystkę sceny krakowskiej — traci.

Teresa Suchecka wyjechała do Lwowa i do nas może już nigdy nie wróci. — Lwowska młodzież zapewne ujrzy Ją, pokocha jak my i może — może coś o tym — napisze?

Kraków **N. R.**



Czas trwania Targów Wschodnich został zredukowany do dni dziesięciu. Z tej też przyczyny postanowiłem już w pierwszych dniach zwiedzić Targi. Przy głównym wejściu panował olbrzymi natłok. Na placu Targów powitały mnie odświętnie przybrane maszty, na których powiewały barwy państw biorących udział w Targach. Z wyjątkiem Belgii, którą reprezentowała wspaniała kolekcja książek, sami starzy znajomi. Swego rodzaju atrakcję stanowi oszklone studio Polskiego Radia. Dalej pawilon automobilowy zbudowany w ciągu ostatnich 4 tygodni zajmuje przestrzeń 1.700 m², zawiera wspaniałe eksponaty przemysłu motoryzacyjnego. Naprzeciw pawilonu automobilowego, niewątpliwie największa atrakcja tegorocznych Targów — Wystawa Filmowa. Pawilon Filmowy został urządzony z wyjątkowym wprost przepychem. U wejścia rzęsiście oświetlony salon utrzymany w kolorach srebrnym i niebieskim. W obrębie pawilonu znajdują się m. i. dwie sale filmowe, z których jedna posiada z zewnątrz oszkloną kabinę z aparatem projekcyjnym. W tejże sali filmowej były wyświetlane filmy retrospektywne, jak film z K. Junoszą Stępowskim i Jadwigą Smosarską z przed 18 lat, oraz dwa filmy z roku 1896 i 1897. Pomiędzy eksponatami znajdował się pierwszy aparat ojca kinematografii Louisa Lumire'a, którym został wyświetlany pierwszy na świecie film w podziemiach kawiarni „De la Paix" w Paryżu, w grudniu 1891 r. Drugi, bo w 1895 roku wynaleziony i ulepszony (usunięcie migań) aparat jest dziełem rąk naszego rodaka Kazimierza Prószyńskiego, który jest także twórcą „Aeroskopu" — kamery śmierci (pierwsze zdjęcie z lotu ptaka). Na czoło eksponatów obrazujących twórczość Kazimierza Prószyńskiego wybija się szereg dyplomów (dyplom Franc. Akad. Nauk) oraz artykuł wycięty z angielskiej gazety p.t. Kasimir Proszyński — the polish Edison. Zadaniem „Wystawy Filmowej było odsłonięcie szerszemu ogółowi kulisów pracy filmowej (nakręcanie i wyświetlanie filmu) oraz przedstawienie historii filmu. Cel ten organizatorzy w zupełności osiągnęli.

I Lempert.
Lwów, Gimn. St. Batorego.

SCENA

„GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE"...

Romana Niewiarowicza — na scenie krakowskiej.

Sztukę R. Niewiarowicza pt. „Gdzie diabeł nie może", należy zaliczyć do najweselszych komedii naszego repertuaru scenicznego. Posiada bowiem w sobie b. dużo zdrowego humoru, jakiego u nas w Polsce nie spotyka się wszędzie.

Autor wprowadza nas do gabinetu bezrobotnego lekarza, zawojowanego przez młodą maturzystkę Janinę, która swoim sprytem i tupetem pomogła młodemu doktorowi do zrobienia kariery.

Przebieg całej komedii obfituje w niezwykle dowcipne powiedzonka i komiczne sytuacje. Cóż jednak z tego, kiedy gros wesołych momentów psują niektórzy wykonawcy. P. Zygmunt Modzelewski, jako lekarz stworzył o wiele bardziej niemrawy i bezwolny typ, niż wymagała tego rola. Nie postarał się ani nawet o jeden rys, któryby uczynił nam tę postać nieco sympatyczniejszą.

P. Alicja Matusiakówna (Janka) przeszarżowała typ energicznej i pewnej siebie osóbki. P. Alicja nigdy się nie zmienia i w każdej roli jest „Rozkoszną dziewczyną", Zuzanną z „Wesela Figara" i pensjonarką z „Nieusprawiedliwionej godziny", w każdej sztuce nadużywa tych samych gestów i tych samych efektów głosowych, zmienia tylko ubranie; dobrze byłoby zastanowić się raczej nad zmianą postaci w każdej rol.i

P. Szubert K. (Karpik) zdobył się na b. żywe akcenty komediowe, dobrze świadczące o rozpiętości jego talentu.

Bardzo naturalną była p. Zalewska (kumosia). P. Wroński stworzył postać prawdziwego businessmana

P. Opaliński dał nam miłą sylwetkę poczciwego woźnego.

P. Romowicz była w miarę natrętną damą po kweście, czego nie można powiedzieć o p. Kierżkowej.

Reżyseria pana Karbowskiego mało staranna. Wiele sytuacyj przez nadmiar ruchu i hałasu dezorientowało publiczność. Pod tym względem najprzykrzejszy był akt I.

Z utęsknieniem oczekujemy następnej sztuki w reżyserii dyr. Karola Frycza.

Dekoracja p. Gajewskiego b. dobra w II akcie, w I i III banalna.

Kraków, Liceum Adm.

Jerzy Juszczyk.

Z WYSTAWY SZPITALNICTWA

Zagadnienia szpitalnictwa są zagadnieniami społecznymi w pełnym tego słowa znaczeniu, to też Pierwsza Wystawa Szpitalnictwa, zorganizowana w nowowybudowanej części szpitala im. Marszałka Piłsudskiego, zainteresować musi nietylko specjalistów, ale i szeroki ogół. Wejdźmy na przykład do działu naukowo - dydaktycznego.

Wykresy i liczby mówią same za siebie: po wojnie przybyło nam 20 tysięcy łóżek szpitalnych, ale na to, aby zaspokoić potrzeby społeczeństwa potrzebujemy jeszcze 30 tysięcy. Nie jesteśmy więc jeszcze nawet w połowie drogi...

Dalej szereg map ilustruje ilość i rozmieszczenie szpitali państwowych, samorządowych, społecznych (ubezpieczalnie) i prywatnych. Dostrzegamy tu przedewszystkim ogromny rozwój szpitalnictwa społecznego i samorządowego. Góruje oczywiście Śląsk, jedyne województwo, posiadające (mimo zupełnego braku szpitali państwowych) ilość szpitali większą, niż konieczna przeciętna, do osiągnięcia której dążymy na terenie innych województw. Im bardziej posuwamy się na wschód, tym jest gorzej; już woj. białostockie wykazuje duże braki, a nowogródzkie, poleskie i wołyńskie świecą rozpaczliwymi pustkami. Uprzytomnijmy sobie jeszcze to, że ogromna większość szpitali przypada na duże miasta, a zrozumiemy jaki jest stan wsi. Czeka tam jeszcze morze pracy!

Doniosłość i rozwój szpitalnictwa społecznego zrozumiemy lepiej po obejrzeniu specjalnego działu: liczby chorych, korzystających z opieki zakładów ubezpieczeń wzrastają z roku na rok; szpitali i sanatoriów przybywa — ilustrują to liczne modele i fotografie.

Przejdźmy do innych działów. Szeroko potraktowany jest dział Szpitalnictwa Wojskowego, które również ogromnie się rozwinęło i specjalne zasługi położyło w dziedzinie chirurgii urazowej. Bardzo ciekawe jest urządzenie samochodu - sali operacyjnej, kompletnie wyposażonej. Sala taka może odegrać kolosalną rolę na wypadek wojny, umożliwia bowiem natychmiastowe przeprowadzenie operacji na placówkach, odsuniętych daleko od szpitali polowych.

Z wielkim uznaniem należy też podkreślić wprowadzenie waty i gazy lnianej, a więc z krajowego surowca, na miejsce bawełnianej, znacznie droższej.

Osobny dział poświęcony jest pracy Polskiego Czerwonego Krzyża. Z rozmiarów i doniosłości tej pracy wszyscy zdają sobie sprawę, a wykresy i statystyki tę świadomość ugruntowują.

M. Bojanowska.



Z ŁODZI.

„Na terenie naszego gimnazjum, które ma już ustaloną „markę" tak pod względem wychowania i nauczania jak i pod względem bardzo dobrze pojętego koleżeństwa, istnieje kilka niezależnych organizacji uczniowskich. Najpoważniejszą niewątpliwie taką organizacją jest „Koło Naukowe", ujęte w ramy organizacyjne zrzeszenia lwiej części kolegów naszej „budy", pociągniętych wspólną ideą samokształcenia. Jak każda organizacja miało i nasze „Koło N." upadki i wzloty. Obecnie jednak, szczególnie przez dwie ostatnie kadencje tego samego prezesa—kol. Kazimierza Chojnackiego, „Koło" prowadzi działalność ożywioną. „Koło Naukowe" umożliwia swym członkom—przede wszystkim członkom, a w miarę możności także i nie członkom — kształcenie się w obranych dziedzinach, rozwija w nas poczucie prawdziwego koleżeństwa i należycie pojętej społeczności, oraz dostarcza godziwych rozrywek. Nasze „K. N." zarządza szeregiem „sekcji", jak: historyczną, literacką, krajoznawczą, przyrodniczą, fizyczną, chemiczną, artystyczną, dramatyczną itp.

Wszystkie sekcje pracują mniej lub więcej wydatnie.

Oprócz tej potężnej organizacji mamy „Spółdzielnię", szkolną potęgę finansową. Członkowie „Spółdzielni", korzystać mogą z wielu dobrodziejstw, jakimi jest np. niewątpliwie udzielanie pożyczek, bądź drobniejszych, na wypadek nagłego „kryzysu" i braku „floty" na kino, bądź grubszych (do 40 zł.!) pożyczek wakacyjnych na wielce dogodnych, dowolnych warunkach spłaty. Ponadto „Sp." subsydiuje inne organizacje szkolne, n. np. wspomnone „K. N.", z którym nieraz „do spółki" urządza miłe zabawy, koncerty, wieczorki literacko - recytatorskie itp., no i oczywiście, prowadząc sklepik i bufet, zaopatruje nas w dobre i tanie materiały tego lub innego przeznaczenia.

Dalej następuje „Koło Sportowe", również ruchliwe, kształcące — śmiem odważnie sądzić — przyszłych, olimpijczyków Polski.

Istnieje również na terenie Szkoły jednostka Z. H. P. i Sodalicja.

Tak przedstawia się obraz naszej wspólnej uczniowskiej działalności, która aby wydała jaknajwięcej owoców.

S. Jaśkiewicz

Łódź, gim. Piłsudskiego

Z RADOMIA.

Uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego nastąpiło w dniu 5.IX w kościele O.O. Bernardynów. W czasie mszy przemówił do zebranych uczniów ksiądz prefekt, który wezwał młodzież do pracy nie tylko nad lekcjami, lecz również nad sobą i swoim charakterem. Następnie w obecności p. Dyrektora i Rady Pedagogicznej uczniowie chórem odśpiewali hymn szkoły „O szkoło polska". W ten sposób rozpoczęliśmy życie szkolne w nowym roku.

Około połowy września odbyło się zebranie Rady Delegatów Bratniej Pomocy. Delegaci wybrali nowy zarząd „Bratniaka" na półrocze, który już rozpoczął swe prace. Uruchomiono wypożyczalnie podręczników do nauki i Wydział Finansowy. Poza Bratnią Pomocą do prac w swym zakresie przystąpiły wszystkie inne organizacje szkolne.

Młodzież szkół średnich Radomia przygotowuje się do wręczenia C.K.M. miejscowemu pułkowi piechoty, które nastąpi w dniu święta niepodległości. Będzie to zadokumentowanie wielkiej przyjaźni i uznania, jakie my młodzież żywimy dla naszej gwarantki pokoju.

Zygmunt Leśniewski.

Radom, wrzesień 1938 r.

GIMNAZJUM W PIŃSKU — W 100 LETNIĄ ROCZNICĘ

Gimnazjum w Pińsku obchodziło z początkiem września tego roku swe wielkie święto: setną rocznicę swych narodzin. Rozwinięte z założonej w r. 1834 pięcioklasowej szkoły, przeznaczonej dla młodzieży szlachty polskiej, od r. 1858 nosiło pełne prawa szkoły średniej. Szkoła ta przechodziła czasy ciężkiego kryzysu, a podczas wojny światowej i okupacji niemieckiej przestała nawet zupełnie wegetować. Zorganizowana na nowo i upaństwowiona po zdobyciu niepodległości do dziś pełni rolę ośrodka kulturalnego życia stolicy Polesia.

Niecodzienną uroczystość uczczono otwarciem zjazdu wszystkich byłych wychowanków gimnazjum pińskiego. Podniosły nastrój zostawiając głęboki swój ślad, rozproszył szarość ponurych dni Polesia i natchnął do dalszej wytężonej i wydajnej pracy.

T. Zwoliński.

GAWĘDY WUJA ZRZĘDY

Jak to zrobiłem?

Idąc drogą zauważyłem przy beczce dwóch sprzeczających się między sobą mężczyzn.

— Ja szanownemu panu mówię, że jest więcej, niż pół beczki wody! — wołał jeden.

— Ale! Panie! Stanowczo, stanowczo mniej, niż pół beczki.

Widziałem, że za chwilę dwaj uparci pieniacze przejdą od argumentów słownych do innych sposobów przekonania jeden drugiego.

Podszedłem do nich. I nie posługując się, ani kijem, ani sznurkiem, ani jakimkolwiek innym przedmiotem do mierzenia przekonałem ich, ile jest naprawdę w beczce wody.

Jak to zrobiłem?

Jak zrobić kładkę?

Prostokątne pole jest otoczone rowem, którego szerokość jest wszędzie jednakowa. Mamy dwie deski, z których każda równa się długości rowu.

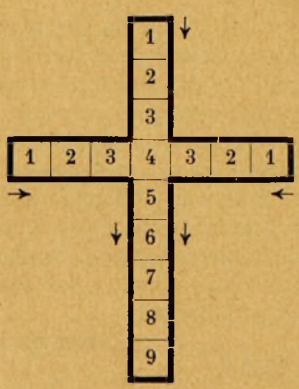
Zrobić z tych desek kładkę przez rów!

O nieuczciwym a przemyślnym Jubilerze.

Podczas mej ostatniej podróży dokoła świata opowiadał mi w Amsterdamie pewien stary Holender następujące zdarzenie:

Włoska hrabina de Castiligio miała antyczny, złoty krzyż wysadzony brylantami. Iloma brylantami ozdobiony był ten krzyż hrabina de Castiligio nie wiedziała, ponieważ zachwycona była inną oryginalną właściwością najdroższego przedmiotu swego rodowego skarbu.

Oto, gdy liczyła brylanty z któregokolwiek górnego ramienia w kierunku do podstawy krzyża to zawsze otrzymywała liczbę 9. Od góry ku dołowi brylantów było 9. Od lewego ramienia ku dołowi — 9. Od prawego ramienia ku dołowi również 9.



Pewnego dnia krzyż należało oddać do reperacji. Podczas rozmowy hrabina de Castiligio powiedziała do jubilera:

— Niech pan spojrzy! — Z któregokolwiek ramienia będę liczyła brylanty, zawsze atrzymam liczbę — 9. Po zreperowaniu przez pana krzyża ja w ten sposób sprawdzę ich ilość.

— Czy tylko tak ? — spytał jubiler.

— No, naturalnie, to dla mnie będzie najzupełniej wystarczające — potwierdziła hrabina.

Jubiler był człowiekiem nieuczciwym — oglądając brylanty i widząc ich wielką wartość postanowił przyswoić sobie dwa kamienie. Po krótkim namyśle zreperował on krzyż, wyjąwszy dla siebie dwa brylanty.

Hrabina de Castiligio odbierając od jubilera zreperowany krzyż, przeliczyła według swego sposobu brylanty i uznała, że są wszystkie. Dopiero w domu syn jej, Benitto, zauważył kradzież.

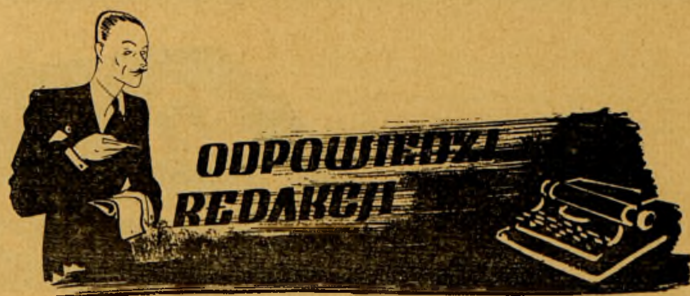
* * *

Co zrobił jubiler, że hrabina odbierając od jubilera krzyż nie zauważyła braku dwóch brylantów.

Za danie trafnej odpowiedzi Redakcja przyzna jedną, wylosowaną, roczną, bezpłatną prenumeratę „Młodego Nurtu".

Termin nadsyłanie odpowiedzi do 15.X.

Wuj Zrzęda obiecuje w następnym numerze „Młodego Nurtu" zdradzić tajemnicę amsterdamskiego jubilera.



Kol. J. K. Kielce. Na propozycje kolegi zgadzamy się. „Siedemnastej wiosny" nie otrzymaliśmy. Z uwag o kolportażu na terenie Kielc skorzystamy. Ślemy podziękowanie.

Kol. I. L. — Lwów. Za miły list dziękujemy i czekamy na zapowiedzianą obfitą korespondecję. Mamy nadzieję, że numer 2 „Młodego Nurtu" nie zawiedzie nadziei Kolegów i że zyskamy prenumeratorów. Prosimy o przysłanie fotografii w celu wystawienia legitymacji korespondenta. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. R. N. Katowice. Część materiału nadesłanego przez Koleżankę umieszczamy już w tym numerze. Prosimy o dalszą współpracę i życzymy powodzenia w „zdobywaniu" dla „Młodego Nurtu" młodzieży katowickiej. Serdecznie pozdrawiamy.

Kol. A. W. Tczew. Legitymacja została już wysłana, oczekujemy na korespondencję z terenu szkoły. „Nasza Buda" nie pójdzie, prosimy o materiał omawiający życie i działalność organizacji szkolnych (spółdzielni, samorządu itp.). Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. B. S. Tczew. Z przysłanego artykułu częściowo skorzystamy, Legitymację wysyłamy. Przesyłamy 10 egz. do kolportażu i życzymy powodzenia w pracy.

Kol. J. K. Łódź. Nadesłany artykuł idzie w tym numerze. Cieszy nas obietnica poważnej współpracy z nami, czekamy więc na artykuły i kronikę z terenu szkoły. Życzymy powodzenia w pracy i zyskiwaniu nowych współpracowników.

Kol. H. L. Łuniniec. Za pozdrowienia dziękujemy. Legitymację wysłaliśmy i czekamy na materiały i numery okazowe „Młodej Myśli". Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. J. F. Warszawa. Nie honorujemy.

Kol. T. G. Warszawa. Z przysłanej pracy nie skorzystamy, temat zbyt oderwany. Czekamy na inne.

Kol. „Wnem" Kraków. List otrzymaliśmy przy składaniu numeru. Wiele rzeczy nam odpowiada. Rozrost pisma pozwoli na więcej możliwości. Mamy nadzieję wzajemnego zrozumienia. Pozdrawiamy.

SPORT

PO BATALII PARYSKIEJ.

Wyprawa naszych lekkoatletów na mistrzostwa Europy w Paryżu nie spełniła ani skrytych, ani jawnych nadziei. Nie zdobyto ani jednego mistrzostwa. Raz tylko Polak stanął na podium zwycięzców: był nim Gierutto — wicemistrz Europy w dziesięcioboju. Nie poszczęściło się Zasłonie: na 100 m. zrobiwszy niezauważony przez startera falstart, cofnął się i wskutek tego pozostał o dobrych parę metrów, których nie mógł już odrobić. Nie doszedł nawet do półfinału. Sznajder, typowany na zwycięzcę w skoku o tyczce zajął dopiero czwarte miejsce, Gąsowski zmożony grypą przyglądał się z trybun biegowi na 400 m. Pozostali Soldan, Noji, Staniszewski i Pławczyk nie zawiedli, ale nie zrobili też żadnej niespodzianki in plus. Ogólem bilans wyprawy ujemny.

WALASIEWICZÓWNA NIEZAWODNA.

Nasze zawodniczki na mistrzostwach Europy w Wiedniu zdobyły tytuł wice - mistrzowski za doskonałymi Niemkami. Jest to niewątpliwy sukces, który jednak w znacznej mierze należy zawdzięczać Walasiewiczównie; „pracowała" za wszystkie obecne i nieobecne (najlepsze Kwaśniewska i Wajsówna zachorowały) zawodniczki. Sztafeta 4x100 w składzie Książkiewiczówna, Kałużyna, Gawrońska i Walasiewiczówna pobiły rekord Polski w czasie 48,3, zajmując drugie miejsce za Niemkami i w ten sposób przypieczętowując wicemistrzostwo Europy dla ekipy polskiej.

KAMIENICA — RYGA — WARSZAWA.

Nasi piłkarze przeżywają obecnie wyraźny spadek formy. **Zespół niemiecki,** zasilony zresztą dzięki Anschlusowi przez doskonałych graczy wiedeńskich, rozgromił naszą 11-tkę w Kamienicy w stosunku 4 : 1 (1 : 0) Autorem honorowej bramki był Peterek. Drużyna nasza straciła wiele ze swej przysłowiowej szybkości, jeden Piontek zabłysnął swymi znanymi walorami jak również niezmordowaną pracowitością.

W Rydze na boisku A. S. K. odbył się 8-my mecz międzypaństwowy pomiędzy reprezentacjami Łotwy i Polski. Łotysze już dawno szykowali się do rewanżu za dotychczasowe niepowodzenia. Wygrali 2 : 1 (1 : 1). Jedyną bramkę dla Polski strzelił prowoskrzydłowy Habowski. Zwycięzka bramka dla drużyny łotewskiej padła na kilka minut przed końcem meczu. Jest to pierwsze w historii łotewskiej piłki nożnej, zwycięstwo w spotkaniu z Polską.

Po raz 11-ty spotkała się nasza reprezentacja z 11-tką **Jugosławii.** Bilans rozgrywek przedstawiał się następująco: 5 zwycięstw, 5 porażek. Stosunek bramek 27 : 26 dla Polski. A więc idealna równość. Po meczu, którego wynik obecnie brzmiał 4:4 (2:1 dla Polski) nic się nie zmieniło w ogólnej punktacji. Jugosłowianie wyraźnie górowali technicznie nad naszym zespołem za wyjątkiem obrony. Z naszych bezapelacyjnie najlepszym i najpracowitszym był Piontek. Bramki dla Polski strzelili: Korbas i Piontek po jednej, Wilimowski 2. Dla Jugosławii Wölff—2, Kokotowić z karnego i Weiker po jednej.



GRAND - PRIX MOTOCYKLOWE POLSKI.

W Warszawie po raz pierwszy został rozegrany wielki wyścig motocyklowy o nagrodę Grand Prix Polski. Trasa wynosząca 7 i pół kilometra była niezmiernie urozmaicona: prowadziła przez asfalt, przez ostre wiraże do nadwiślańskiej piaszczystej szosy, wznoszącej się stromym podjazdem ku laskowi bielańskiemu. Dalszy odcinek to łagodnie wijąca się droga przez las, z którego zawodnicy wyjeżdzali na ostatni kimometr asfaltu, prowadzący ku mecie. Ponieważ długość wyścigu wynosiła 240 km. zawodnicy mieli do odrobienia 30 okrążeń. Start maszyn do tego emocjonującego wyścigu w liczbie 63 odbył się w odstępach dwuminutowych, w kolejności klas maszyn, tak, że wszystkie motocykle znalazły się równocześnie na trasie.



Grand - Prix zdobył Niemiec Bungerz na DKW w czasie 2,24,09 osiągając przeciętną szybkość 96,5 km. na godz. Drugie i trzecie miejsce zdobyli dwaj Niemcy również z ekipy DKW Wünche i Petruschka. Polacy Brendler i Nahorski uplasowali się na czwartym i piątym miejscu. Nasz najlepszy zawodnik Mieloch na NSU, typowany na drugie miejsce, odpadł w połowie wyścigu z powodu defektu motoru.

Nie należy się dziwić zwycięstwu Niemców. Podczas gdy u nas sport motorowy traktowany jest po amatorsku, zawodnicy niemieccy należą do t.zw. jeźdźców fabrycznych. Są oni opłacani i trenowani przez fabrykę, w tym wypadku przez DKW, specpalnie dla uczestnictwa w wyścigach. Ich technika brania wiraży nie pozostawiała nic do życzenia. Jesteśmy jednak pewni, że za parę lat nasi zawodnicy przy usilnym i systematycznym treningu potrafią dorównać zagranicznym „amatorom".

er.

HUMORESKI

ZBIÓRKA NA F. O. N.



obecnie



w czasach przedhistorycznych



Próbne loty do stratosfery naszych młodszych kolegów



Nowoczesne wagary



Poznajmy naturę

REDAKTOR: Bolesław T. Łaszewski. WYDAWCA: „Instytut Wydawnictw Współczesnych".

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Myśliwiecka 3. Codziennie od 10—14, ponadto we wtorki i piątki od 16.30—18.30.
Tel. Redakcji 8-63-66. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.